





Mamy nadzieję, że za 100 lat, gdy Lublin będzie obchodził 750-lecie nadania praw miejskich (jeżeli historycy lub archeolodzy nie udowodnią, że było to wcześniej lub później) „Kamena” będzie istniała nadal. Może już jako pismo wydawane przy pomocy maszyn elektronicznych lub nadawane przez specjalną telestację — mniej-  
 zszukał materiałów z przeszłości.

## Gdy za 100 lat

# KULTURA

Gdyby patrzeć tylko na statystykę, wypadłoby zupełnie dobrze: każdy mieszkaniec miasta 2 razy w roku był w teatrze. Mamy bowiem w mieście 3 sceny: dramatyczną, operetkową i lalkową, a łącznie widzów w ciągu roku ok. 450 tysięcy. Ale gdy spojrzymy za podstawkę statystyki, sprawa zaczyna wyglądać inaczej.

Teatr im. J. Osterwy daje rocznie ok. 10 premier i ponad 300 przedstawień, ale w Lublinie widzów jest tylko 120 tys., 80 tys. to mieszkańcy województwa. Operetka daje 3-4 premiery dla ok. 170 tys. widzów. Ponadto jednak robi wyprawy nawet do innych województw, widzów z samego Lublina jest tylko ok. 55 tys. Teatr Lalki i Aktora przedstawia co roku 4-6 premier, dając ok. 350 spektakli, z czego nieco mniej niż połowę w Lublinie, gdzie ma ok. 30 tys. widzów. W sumie więc widzów lubelskich jest ok. 205 tys. — co oznacza, że mieszkaniec miasta chodzi do teatru przeciętnie raz na 13 miesięcy.

Miasto posiada 7 kin państwowych i 10 społecznych, może w nich jednorazowo oglądać filmy 6414 widzów. Ale tak dobrze nie jest i w sumie



Zespół Pieśni i Tańca UMCS Fot. A. Polakowski

rocznie mamy ok. 2 mln widzów — każdy więc ogląda srebrny ekran 9 razy w roku. Idealnie taka sama jest przeciętna w kraju dla mieszkańców wszystkich miast.

Wbrew pesymistom ani telewizja, ani łagodniejsze przepisy o rejestracji nie zmniejszyły liczby radioobonentów — jest ich 51 188, więc 2,5 tys. więcej niż rok wcześniej. Radiostacja pracuje niemal 10 lat, od 1965 r. na dwóch falach — 219,6 m (30 kW) oraz 72,6 MHz (5 kW). Program własny ok. 850 godzin rocznie.

Abonentów telewizji jest 29 253, w ciągu 2 lat przybyło 12 tys. Od maja 1962 r. w Bożym Darze, już poza granicami miasta, pracuje przekaznik telewizyjny. Dwuosobowa ekipa dziennikarsko-operatora przekazuje aktualności do Warszawy.

2 biblioteki publiczne mają 345 tys. woluminów, ale czytelników tylko 31 574 w ub. r., co nie wystawia nam zbyt chlubnego świadectwa. Książki wypożycza się w 22 filiach i 7 punktach. Ponadto istnieje Biblioteka Pedagogiczna, naukowa w każdej wyższej uczelni (kończy się budowę dużego gmachu dla wszystkich razem), specjalistyczne w różnych instytucjach i przedsiębiorstwach, szkolne itd. Tych ostatnich jest ponad 80, a czytelników mają ok. 45 tys.

Państwowa Filharmonia daje rocznie prawie 800 koncertów z tego w Lublinie ok. 150 — słuchaczy jest ok. 40 tys. Melomani niemal każdego tygodnia mogą posłuchać wybitnych muzyków bądź wokalistów, niekiedy tych o światowej sławie.

W lutym 1957 r. powstała Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, która obok „Kuriera Lubelskiego” wydawała książki. Od 1 stycznia 1961 r. przekazując „Kuriera” RSW PRASA spółdzielnia przekształcona została w państwowe Wydawnictwo Lubelskie. Wydało ono (łącznie z LSW) 250 tytułów, razem 1,8 mln egzemplarzy.

Od dwóch lat istnieje Miejski Dom Kultury, ale nie posiada on żadnego lokalu. Z 60 klubów i świetlic zażywających i pożyteczną działalność należy wymienić Relaks, Norę, Arcus (studencki), Chatkę Zaka (dzielnica uniwersytecka), Dom Kultury Kolejarski, Dom Kultury na Bronowicach, kluby LSS, LSM, Zakładów Mięsnych.

# OŚWIATA

Tak się układało w ciągu wieków, że Zamość, Biła Podlaska i Puławy wcześniej miały swoje akademie i wyższe uczelnie, Lublin pierwszej dorobił się dopiero w 1818 r., gdy powstał Katolicki Uniwersytet Lubelski, który jednak przez lat 20 nie miał prawa nadawania wyższych stopni naukowych. Wojska polsko-radzieckie stały jeszcze nad Wisłą, w mieście nieraz było słychać kanonadę z frontu, gdy 23 października 1944 r. powstał Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, z którego w 1950 r. wyłoniła się Akademia Medyczna, a w 1955 r. Wyższa Szkoła Rolnicza. W 1953 r. powstała Wieczorowa Szkoła Inżynierska, od półtora roku przekształcona na Wyższą Szkołę Inżynierską.

Mamy dziś na wyższych studiach prawie 13 tys. studentów, dzięki czemu wśród 29 miast z wyższymi uczelniami zajmujemy 6 miejsce, a po Warszawie, Krakowie i Łodzi 4 we wschodniej połowie kraju. Wszystkie uczelnie razem wydały po wojnie prawie 17 tys. dyplomów. Kadra pracowników naukowych przekracza 1 200 osób. Niemalym wysiłkiem budowaliśmy bazę materialną dla naszych uczelni. Dzielnica uniwersytecka otrzymała 35 nowych budynków, co wraz z innymi urządzeniami i wyposażeniem kosztowało dotychczas prawie 300 mln zł. Niemal taką samą sumę wydała na budowę swojego ośrodka Akademia Medyczna, która m. in. zyskała jeden z najbardziej nowoczesnych zespołów klinicznych w Europie. Niedawno WSI otrzymała na rozbudowę 170 mln zł.

W myśl zasady „każde dziecko w szkole” bardzo szeroko rozbudowaliśmy szkolnictwo średnie i podstawowe.

Szkolnictwo średnie obejmuje: 8 liceów ogólnokształcących (3 173 uczniów) dla młodzieży oraz 3 licea dla pracujących (986 uczniów). Znaczenie bardziej gęste jest sieć szkół zawodowych, które kształcą fachowców w różnych dziedzinach. Takich szkół dla młodzieży niepracującej mamy w mieście 55, a uczy się w nich 17 496 uczniów, z których ok. 4 tys. otrzymuje co roku świadectwa końcowe. Wśród szkół zawodowych tego typu mamy: 18 zasadniczych (6 291 uczniów), 30 techników stopnia licealnego (9 593 uczniów), 1 liceum pedagogiczne (119), 2 studia nauczycielskie (73), 1 szkołę artystyczną I stopnia (339), 2 szkoły artystyczne II stopnia (253) i 1 szkołę specjalną (74). Warto dodać, że 58 proc. uczniów pochodzi spoza Lublina, a 40 proc. to synowie chłopów.

Ludzie, którzy już pracują, mogą korzystać z 45 szkół zawodowych — robi to 11 313 osób. Wśród tych 45 szkół 12 to zasadnicze (3 818 uczniów), 4 międzyzakładowe (1 638), 8 przyzakładowe (2 160), 10 techników (7 141) i 1 szkoła mistrzów (50). Ponadto w 10 szkołach istnieje 136 oddziałów nauki zaocznej (5 731).

W bieżącym roku szkolnym czynnych jest 40 szkół podstawowych, w których uczy się 30 557 dzieci. Najliczniejsze są klasy piąte — 4 441 uczniów, w pierwszych 3 260, a w ósmych 2 584. O ile wśród wszystkich mieszkańców Lublina jest ok. 10 tys. kobiet więcej niż mężczyzn, to w szkołach podstawowych mamy już uklad normalny — 171 więcej chłopców.

W okresie niepodległości wybudowaliśmy 45 obiektów szkolnych za ok. 300 mln zł, w tym 25 samych szkół. Chociaż w wielu klasach jest jeszcze ciasno, to przecież zlikwidowaliśmy stare baraki, a w najbliższych latach wszystkie szkoły przeniosą się do nowych, pięknych budynków.

# HISTORIA

- 1317 — Wł. Lokietek nadaje miejskie prawo magdeburskie,
- XIV w — wybudowanie Bramy Krakowskiej,
- 1386 — spisanie umowy o zaślubinach Jadwigi i Wł. Jagielly,
- 1447 — najazd tatarski, jeden z licznych, wyjątkowo niszczycielski,
- 1485 (ok) — urodził się Biernat z Lublina,
- 1489 — „pospólstwo” po raz pierwszy usiłuje objąć władzę,
- 1514 — oddanie do użytku pierwszego wodociągu,
- 1569 — zawarcie unii Polski z Litwą,



Zamek Lubelski Fot. A. Polakowski

- 1584 — zmarł Jan Kochanowski,
- 1602 — zmarł Sebastian Klonowic,
- 1614 — Zygmunt III zatwierdza godło miasta,
- 1630 — powstanie pierwszej polskiej drukarni,
- 1758 — Stefan Batory tworzy Trybunał Koronny dla Małopolski,
- 1807 — urodził się Wincenty Pol,
- 1815 — miasto wraz z województwem wchodzi do Królestwa Kongresowego,
- 1816 — Powstanie Towarzystwa Nauk i Tow. Dobroczynności,
- 1825 — Stanisław Staszic funduje pomnik unii polsko-litewskiej,
- 1835 — urodził się Henryk Wieniawski,
- 1877 — uruchomienie kolei żelaznej,
- 1881 — aktor Ludwik Sosnowski żeni się ze śpiewaczką Michaliną Solską, od której wziął „nazwisko sceniczne” Solskiego,
- 1918 — 5 listopada powstaje Rada Delegatów Robotniczych i Chłopskich, 7 listopada Tymczasowy Rząd Republiki Polskiej,
- 1934 — pierwsze przedstawienie na scenie „Wesela Lubelskiego”,
- 1939 — 9 września w czasie bombardowania zginął Józef Czechowicz,
- 1944 — 24 lipca wojska polskie i radzieckie zajmują miasto, 2 sierpnia z Chelma przynosi się PKWN,
- 1945 — 1 lutego Rząd Tymczasowy przenosi się do Warszawy,
- 1951 — 7 listopada rusza Fabryka Samochodów Ciężarowych.

# Całą Polskę zapraszamy do Lublina

Rozmowa z mgr Mieczysławem Martynem przewodniczącym Prezydium MRN

P OCZĄTKOWO zanosiło się na upstrzony cyframi, wspomnieniami i planami — wywiad. Taki, jaki zazwyczaj robi się z okazji jubileuszu, z kimś, kto jest jubilatem, lub — jak w tym wypadku — jubilatą reprezentuje. Na szczęście, do pierwszego spotkania nie doszło. Zanim w przedrocznicowym kołowym różnych zajęć rzeczywiście spotkaliśmy się, ustaliliśmy przez telefon, że jednak nie będzie ani „kobyły” ani uroczyściej deklaracji. Po prostu rozmowa przy czarnej kawie z przewodniczącym Prezydium MRN w Lublinie, Mieczysławem Martynem, ojcem miasta, które właśnie teraz obchodzi 650 rocznicę otrzymania praw miejskich.



Fot. A. Polakowski

— Funkcja przewodniczącego Prezydium MRN nie należy do łatwych ani do przyjemnych. Kłopoty z mieszkańcami, ulicami i wodociągami, zdobywanie milionów na inwestycje, zaskarżanie pojedynczych poddań i skarg obywateli... Ale przecież przyjaciel i chwila przyjemne. Co daje panu największe zadowolenia?

— Raduje każdy nowy dom, cieszy każdy wywalczony milion złotych, przyjemnie jest załatwić kogoś nawet drobną sprawą. Ale największe zadowolenia dają mi niedzielne spacerki. Nie tylko urodziłem się w Lublinie, nie tylko tu ukończyłem studia, ale z tym właśnie miastem całym swoim życiem czuję się bardzo związany. Nie dzieli tu dzień trochę uroczyście, bo wolny od codziennej pracy, a jednocześnie powtarza się co tydzień, pozwala więc na systematyczne spacerki. Na co dzień, jak wszyscy, spieszę się i nie mam czasu rozejrzeć się spokojnie po ludziach, po mieście. Oczywiście mam różne sprawozdania, cyfry, plany. Ale co innego zobaczyć to wszystko w naturze. Czasem chodzę po centralnych ulicach, częściej po przedmieściach. Tu nowy dom, tam świeżo położony chodnik, ładnie urządzone sklepy, gromadka rozbawionych dzieci — to raduje. A jednocześnie potykam się o krzywe krawężniki, wpadam w błoto, denerwuję się zbyt długim czekaniem na trolejbus. Widzę, jak na wiele spraw reagują mieszkańcy. Staram się zapisać w pamięci to, co ich raduje i co martwi, czy gniewa, aby potem wykorzystać to w pracy. Czasem — nie wstydzę się przyznać — trochę podsluchuję, gdy spacerowicze rozmawiają o sprawach miasta.

— A z czym ma pan największe kłopoty w pracy?

— Z nadrabianiem powstałych w wielu dziesięcioleciach braków w urządzeniach gospodarki komunalnej i społecznych. Nie potrzebuję reklamować, jak wiele budujemy w Lublinie, a jednak 24 tys. mieszkańców czeka na nowe mieszkania, chociaż połowa mieszkańców już je otrzymała. Jeszcze większe kłopoty są z brakiem kanalizacji w pokątnej części miasta, odczuwamy braki wody, na wielu ulicach łamią się resory i nogi, handel pracuje coraz lepiej, ale do doskonałości mu jeszcze daleko. A najgorzej to, że wiemy o tym wszyscy we władzach miejskich, a jednocześnie nie możemy radykalnie pomóc. To bowiem wymaga nie tylko pieniędzy, których w wystarczającej ilości nigdy nie mamy, ale i czasu, na co już nikt nie poradzi. A z drugiej strony człowiek, który uczciwie wykonuje swoją pracę, ma prawo wymagać coraz lepszych warunków. To, co wystarczało 50 czy 15 lat temu, nie wystarcza już dzisiaj. W rozwiązywaniu tych trudnych spraw bardzo nam pomaga cierpliwość i wyrozumiałość mieszkańców oraz ich bezpośrednia pomoc. Wartość czynów społecznych wynosi rocznie 10-12 mln zł. Ostatnio byłem na 15 spotkaniach, tylko raz ktoś mówił o sprawie indywidualnej, kilkadziesiąt innych o całoci spraw miasta, dzielnic, osiedla.

— Gdyby pan dostał miliard złotych na inwestycje, ludzi do pracy i materiały...

— Moim zdaniem przede wszystkim należałoby wybudować najpierw porządną halę widowiskową, potem duży budynek dla teatru dramatycznego i drugi dla operetki, Dom Kultury i ośrodek wypoczynkowy w Zemborzycach. Mamy prężne środowisko kulturalne, trzeba im dać możliwości pracy. Niestety, tak już jest, że z braku środków zawsze tego rodzaju inwestycje odsuwane są na plan dalszy. Nawet, jeżeli początkowo są w planie.

— Co pewien czas podnoszą się głosy, że ludzie zdolni — aktorzy, plastycy czy dziennikarze — uciekają z Lublina. Jak pan na to patrzy, czy władze nie mają środków na zahamowanie tego odpływu?

— Osobiście nie widzę w tym tragedii. Dla wielu zawodów prawidłowa kariera tak właśnie musi się układać. Muszą zmieniać środowisko i, oczywiście, szukać lepszych możliwości wybiecia się, np. miast ze studiami telewizyjnymi, większą ilością scen. Niektórzy zresztą wracają, jak np. redaktor naczelny „Kamena”. Ale owe „ucieczki” wymagają stałej i troskliwej pracy z młodymi, aby stale nadrabiać luki. I jeszcze lepiej kształtować warunki współżycia, stosunki między ludźmi. Mimo naszych pragnień różnie się to jeszcze układa.

— Sam Lublin daje w tej chwili ok. 40 procent wartości produkcji przemysłowej województwa. Czy to nie nasuwa władzom myśli o czymś w rodzaju warszawskiej deglomracji?

— W tych 40 procentach nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Zapominamy, że w Lublinie wyrabia się szczególnie drogie rzeczy. W wyniku współpracy z władzami wojewódzkimi od kilku lat nie lokuje się już w Lublinie większych obiektów. Wyjątek to fabryka odczynników chemicznych, ale tu jest konieczne utworzenie miejsc pracy dla kobiet, bo to jeden z trapiących nas problemów. Takiego szybkiego rozwoju miasta jak w latach pięćdziesiątych już nie będzie. Poza przyrostem naturalnym i studentami notujemy teraz 2-3 tys. nowo zameldowanych rocznie, to nie jest problem.

— W dawnych czasach duża liczba jurydyk była wyłączona spod władzy miasta, z czym ówczesni wójtowie mieli dużo kłopotów. Czy teraz są podobne kłopoty z przedsiębiorstwami lub instytucjami tzw. centralnymi?

— Wiele się w tej dziedzinie zmieniło w ostatnich latach i nadal zmienia. Proces decentralizacji i umacniania władzy miejskiej jako jedynego gospodarza jest trudny i długotrwały. Dawniej chodziło o zniesienie jurydyk, teraz o praktyczną koordynację. W bieżącej pięcioletniej wartości wspólnych inwestycji obliczamy na ok. 200 mln zł. W ubiegłym na inwestycje miejskie dostaliśmy od prezydium centralnego 50 mln zł. To nie było łatwe. Kiedyś każdy chciał tylko korzystać, teraz jest coraz więcej takich, którzy również uczestniczą w naszych wydatkach. Ale niedawno było i tak — jeden z ministrów interweniował, że nie wykonaliśmy pewnej wspólnej inwestycji. A potem okazało się, że właśnie zjednoczenia z tego resortu nie dokonały ustalonych wplat. Przebudowując ul. Łęczyńską przetrwalimy robotę 50 m przed bramą Zakładów Mięsnych, które dopiero wtedy wpłacił swój udział. Koordynację rozumiem nie tylko jako gromadzenie złotych we wspólnej kasie, ale i zharmonizowanie rozwoju miasta, jego wspólne porządkowanie.

— Mamy pretensje do naszych przedków, że kopali piwnice pod Krakowskim Przedmieściem i teraz jedyną nam się często zapada, o co, pańskim zdaniem, będą do nas mieli pretensje nasi następcy?

— Przede wszystkim o zbyt małą dbałość o zabytki. Odbudowaliśmy dużą część Starego Miasta, ale raczej niedbale, inne niszczyły. Duża pretensja będą mieli za mieszkania — zbyt małe, często niefunkcjonalne i też niedbale wykonane.

— Kolegium karno-administracyjne pracuje w tym samym gmachu, w którym kiedyś mieścił się Trybunał Koronny dla Małopolski. Gdyby teraz doniesiono panu, że w czasie rozprawy pojawił się, jak niegdyś diabeł interweniujący w sprawie pokrzywdzonej wdowy, co by pan zrobił? Odpisałby trzy razy, przelegnął się, przesłał sprawę kolegium WRN, zawiadomił MO?

— Nasze kolegium pracuje bardzo dobrze i nie wyobrażam sobie takiej interwencji. W diabły nie wierzę, ale gdyby — to poleciłbym sprawę rozpatrzyć jeszcze raz i sam byłbym obecny.

A korzystając z dzisiejszej rozmowy — zapraszam serdecznie do Lublina na 650-lecie Czytelników „Kamena” także z naszych zaprzyjaźnionych województw, a również z całej Polski. Powitamy wszystkich gorącym sercem. Proszę przekazać też wszystkim Czytelnikom serdeczne pozdrowienia i życzenia wszelkiej pomysłowości. Tak samo zespołowi redakcyjnemu, który za twórczy wkład w życie naszego miasta posiada już od kilku lat złotą odznakę „Zasłużonego dla Lublina”.

Rozmawiał: Jerzy Dostatni

# Z dala od neonów

(Dokończenie ze str. 1)

ficznych w Warszawie wydało „Plan miasta Lublina”. Alfabetyczny spis zamieszczony na odwrocie planu wymienia nazwy 497 ulic (jeśli nie pomyliłem się przy liczeniu). Już wtedy spis był niepełny, bo liczba ulic znacznie przekraczała 500. Dziś — choć innego planu nie wydano, ażeby kupić stary, trzeba mieć szczęście — ulic jest jeszcze więcej. Nawet rutynowani taksówkarze nie zawsze mogą wszędzie trafić. Lublin zatem to nie tylko centrum i kilka głośniejszych osiedli, lecz liczne wielkie i małe dzielnice. Lemiszczyna, Ponikwoda, Bazylianówka, Kalinowszczyzna, Granicznik, Bursaki Hajdów, Ządębnie (a właściwie kilka Ządębni), Majdan Tatarski, Kośminek, Dziesiąta, Abramowice, Wrotków, Majdan Wrotkowski, Helenów, Sławin, Sławinek, Wieniawka, Wieniawa, Czechów, Czechów-

by Dziesiąta była nie dzielnicą Lublina tylko samodzielną osadą, miałyby zapewne restaurację, kawiarnię, klub kłaski i prasy, kino i remizę strażacką na zabawy taneczne. Straż na Dziesiątej nie jest potrzebna. W razie pożaru wystarczy zatelefonować pod numer 98 i po trzech — czterech minutach przyjedzie bezczłowiek i grono panów w byszczących kaskach. Jednak wypicie filiżanki kawy lub lampki wina jest już — jeśli się nie może, czy nie chce prosić kompanów do domu — problemem możliwym do rozwiązania tylko dwójako: albo się wsiada na trolejbus i jedzie do miasta, albo kupuje butelkę, siada w jakiejś zacisznej uliczce pod płotem i pije kolejno, odmierzając palcem porcje. Czy warto dla kieliszka wódki jechać kilka kilometrów w jedną i kilka z powrotem? Panów pijących „pod palec” można więc spotkać często. A to już jest nie tylko za-

czystkiem z bajki. Uporządkować park, uruchomić w dworku restaurację, kawiarnię i klub, a będą z nich korzystać nie tylko mieszkańcy Węgłina, ale i goście ze śródmieścia. Koszt niewielki a dochody byłyby. Na co czekamy? Aż wszystko pójdzie w ruinę?

O tych i innych żywotnych sprawach przedmieść Lublina można by pisać bez końca. Sławinek, dzielnica związana z pobytami Tadeusza Kościuszki, niegdyś była podlubielskim wczasowiskiem. Czerpano tu ponoć nawet wodę mineralną. Sławinek do dziś zachował wiele tych cech. Ładne tu, zielone. Falisty teren dodaje Sławinkowi uroku. Do śródmieścia niedaleko. Przychodzą tu licznie spacerowicze ze śródmieścia. Niedawno otwarta prywatna restauracja z trudem zaspokaja potrzebę. UMCS zagospodarowuje obecnie park i staw. Lecz kto z mieszkańców ma male dzieci, nie tak łatwo może kupić



To też Lublin

Fot. J. Huzar

ka, Piaski, Buchawska i inne. O tych dzielnicach rzadko się dyskutuje na wysokich szczeblach, rzadko też czyta w prasie. (Uderzmy się w pierś, koledy dziennikarze! Mea culpa; nie wyłączam się i ja). Dziura w bruku na Krakowskim Przedmieściu jest tysiąc razy groźniejsza dla całości nóg przechodniów niż krecina nora w ziemnej nawierzchni, dwa razy dłuższa od Krakowskiego Przedmieścia ulicy Diamentowej. Lecz mieszkańcy dzielnic dalekich i bliższych też mają swoje problemy, którymi warto się zająć.

Dziesiąta należy do najdalej położonych dzielnic. (Do niedawna mówiło się nawet, że to przedmieście; teraz krańcową dzielnicą są położone dalej Abramowice). Ta typowa dzielnica willowa powstała po pierwszej wojnie światowej z podziału istniejącego tu folwarku na parcele budowlane (dla ciekawych: o wsi Dziesiąta pisał jeszcze Jan Kochanowski). W ostatnich kilkudziesięciu latach zbudowano tu wiele domków jednorodzinnych, liczba mieszkańców podwoiła się. Dziesiąta jest nieźle zagospodarowana jak na tego rodzaju dzielnicę. Ma wysoki procent wybrukowanych jezdni, prawie wszędzie chodniki i lampy uliczne, dość gęsta sieć wodociągowa (woda w studniach wyszła przed dziesięć laty, dwie szkoły 8-klasowe i jedną 11-latkę (wszystkie w nowych budynkach), przedszkole z dużym placem zabaw, ośrodek zdrowia, stadion sportowy, strzelnicę, kilka sklepów, w tym jeden wielki spożywczy i największy w Lublinie gospodarstwa domowego. W dodatku ze śródmieściem łączy ją pięć linii: trolejbusowych. Zdawać by się mogło, że ci, którzy tu mieszkają są wybrańcami losu. Niestety, to tylko pozory i nie tylko dlatego, że nie wszyscy mają własne domki, że w wielu rodzinach się po kilka rodzin, i że znaczna część to właściwie budy pozabawione podstawowych wygód.

Dziesiąta ma więcej mieszkańców niż szereg miast powiatowych. O ile jednak trudno sobie wyobrazić stolice powiatu, a nawet gromady, bez takich podstawowych zakładów usługowych jak krawiecki, szewski, stolarski, szklarzski, malarski itp., o tyle faktu, że zakładów takich nie ma na Dziesiątej, nie budzi niczyjej uwagi większego zdumienia. Władze obiecują od dawna mieszkańcom budowę pawilonu usługowego, lecz obietnicami nie podzielić się budów. Trzeba jechać z taką prostą sprawą do śródmieścia, podobnie jak z wieloma innymi podstawowymi sprawunkami. Trzeba tracić czas i tłoczyć się w trolejbusach, które choć kursują co kilka minut, przeważnie są przepełnione ponad miarę. Gdy-

gadnienie alkoholizmu, ale także kultury.

Dziesięć lat temu mieszkańcy Dziesiątej zaprosili do siebie przedstawicieli władz miejskich i apelowali o uruchomienie w dzielnicy jakiegoś placówki kulturalnej. Wskazywali nawet miejsce: stary, podworski jeszcze spichrz. Przemieniony on był przed wojną na prymitywne mieszkania, a właśnie lokatorów przenoszono do nowych domów. W spichrzu z powodzeniem można by urządzić kino, kawiarnię, bufet z gorącymi daniami, świetlicę i parę pokoi dla innych celów (np. na placówkę ORMO). Przedstawiciele Prezydium MRN obiecali mieszkańcom załatwienie tej sprawy. Potem jednak zawiadomiono miejscowy komitet blokowy, że konstrukcja spichrza jest zbyt słaba, by lokować w niej takie placówki. Zaś wkrótce potem spichrz przeznaczono na jakiś magazyn. Lata płyną, a konstrukcja budynku z powodzeniem wytrzymuje obciążenie stosami worków i skrzyń. Nie pierwszy to wypadek gdy kultura musiała ustąpić innym potrzebom.

Brak miejsc do spotkania się z innymi ludźmi to cecha charakterystyczna wszystkich niemal dzielnic Lublina bez względu na ich charakter, gęstość zaludnienia, oddalenie od centrum miasta i stopień zagospodarowania. Nie są to braki blahe. W dużych miastach nie istnieje tradycyjne więzy sąsiedzkie. Bywa, że nie znają się nawet z widzenia lokatorzy mieszkający od lat na tej samej klatce schodowej. Przechodząc może czuć się samotny w wielkim ulicznym tłumie. Ale nie może być samotny w ogóle.

Na Węglinie osiedliła się na stałe grupa Cyganów węgierskich. Jedni pracują na własną rękę, inni pomagają bieleć kotły Cyganom młodańskim z Bronowic, kobiety trochę wroczą. Jak to Cyganie. W węglńskim parku ustawili w krąg trzy tabory wozy, które już nigdy nigdzie nie pojedą i popołudnia spędzają przy ognisku między tymi wozami. Bez tego — mówią — zwiariowaliby. Ognisko to forma życia towarzyskiego Cyganów. Każdy to wie. Przechodnie nie dziwią się. Przechodnie — jeśli są mieszkańcami dzielnicy — znajdują się pod tym względem w gorszej sytuacji. Spotkania przy ognisku nie mieszczą się w obyczajowości współczesnego mieszkańca miasta czy przedmieścia. Gdzie zatem mogą spotykać się okoliczni mieszkańcy? Park na Węglinie ma tak piękny starodrzew, że ładniejszy jest tylko w Saskim Ogrodzie; park jest tak zaniedbany, że powinno się chyba kogoś za to posadzić (marnowanie mienia społecznego). W parku stoi mały, stary, również zaniedbany dworek. Ani to zabYTE historyczny, ani architektoniczny. Lecz przy otaczających park nowych jednorodzinnych domkach — pudełkach z płaskimi dachami, dworek ze swą wieżyczką staje się Kop-

mleko. Na pierwszej górze sławinkowskiej znajdują się kioski, spożywczy i z gazetami. Na drugiej — też, ale przeważnie zamknięte. To relikty, do znowu było włamanie. Nie ma chodników, nie ma lamp ulicznych. Nawet na Warszawskiej panują egipskie ciemności. W parku stoi pusty budynek po starej restauracji. Czy nie można by w nim uruchomić świetlicy, klubu lub kawiarni?

Oczywiście, może ktoś odpowiedzieć: potrzebny wam klub, to go sobie zorganizujecie. W dzielnicy Rury Bonifraterskie też nie było żadnej placówki kulturalnej. Tamtejsze koło TKKF wspólnie z kółkiem rolniczym (a kółko mamy w Lublinie kilka) wynajęło lokal w domu Józefa Kamińskiego i urządziło tam świetlicę. Nie wszyscy jednak dysponują jednakowym zmysłem organizacyjnym, nie każda organizacja terenowa może zdobyć się na taki wysiłek finansowy jak kółko rolnicze, nie mówiąc o tym, że Józef Kamiński jest prezesem tegoż kółka; czy gdyby nie był, zgodziłby się uszczuplić swe mieszkanie o największy pokój? Zresztą... Marnuje się u nas nieraz to co już istnieje. Na Ponikwodzie, u zbiegu ulic Trześniowskiej i Ponikwoda, znajduje się mały skwer z mikroskopijną muszlą koncertową. Gdyby ktoś dał parę złotych, w garderobach muszli można by urządzić klub dzielnicowy. Chłopcy z dzielnicy mówili mi, że sami by wszystko poprowadzili. A gdyby jeszcze znalezionego instruktora, można by pomyśleć o pełniejszym wykorzystaniu muszli na koncerty, przedstawienia itd. Obecnie młodzież wala się bezzwrotnie uliczkami.

Przedmieścia Lublina cierpią z powodu licznych braków. Bazylianówka ma tylko dwa dostępne publicznie krany z wodą, gdy tymczasem miejscowe studnie są wyschnięte lub wysychają. Na Wrotkowie w pobliżu szkoły nr 30 nie ma ani sklepu, ani kiosku. Dwa sklepy znajdują się na koncie Wrotkowa, a pod Zemborzycami — ale to ze środka dzielnicy ponad kilometr. Mieszkańcy Wagi (to przy Al. Kraśnickiej) mają półtora kilometra do najbliższego sklepu i najbliższego kiosku z gazetami. Firlejowska pije brudną, rdzawą wodę zaskorną. Gdyby dyrektor hotelu robotniczego przy ul. Sulistawieckiej nie zgodził się na udostępnienie hotelowego kiosku mieszkańcom ul. Wilczej i sąsiednich, Nowy Kośminek nie miałby gdzie kupić bochenka chleba.

Krakowakie Przedmieście jest ulicą piękną. Sam nieraz pisalem, że tak niewiele trzeba zrobić, aby uczynić ją prawdziwym salonem miasta. Lublin jest jednak znacznie większy. I choć odległym dzielnicom nie są potrzebne kolorowe neony, to niezbędny jest im szereg urządzeń, bez których nie może egzystować współczesny człowiek.

Romuald Wiśniewski

(Dokończenie ze str. 1)

nie utrudnia możliwości interpretacyjnej dokumentu, a także ustalenie jego charakteru. Dodatkową trudność sprawia fakt, iż nawet w okresie, gdy formularz dokumentu lokacyjnego dla miasta był już wypracowany, używano go nie tylko do stwierdzenia czynności prawnej lokacji miasta, ale również dla nadania, sprzedaży lub zamiany wójtostwa, a nawet dla ponownego zatwierdzenia praw miejskich. Jeżeli zaginie ten pierwszy dokument, co bynajmniej nie jest wypadkiem rzadkim, historyk natrafi na kilkanaście z kolejnych (niektóre miasta

zdaje się być niezwykle dużo, skoro Nako uzyskało ją na 11 lat, a Lipska Murwana na 13 lat. Znamienne jednak, że i Szydłów przy okazji sprzedaży wójtostwa uzyskał wolność (nie określono jednak w dokumencie jej długości). A więc i ten moment nie udało się przesądzić, iż nasz dokument jest dokumentem lokacyjnym. Długa i słaba się nadzwyczajna wojenna (nie ma o niej już mowy w r. 1317) zdaje się jedynie dowodzić, iż książę sędzi Maciejowi szczególnie na ręce, aby mógł on dobrze zagospodarować swoje miasto. Tego samego zdaje się dowodzić i zwolnienie kupców lubelskich od cel w całym kraju. Rzecz jasna, wysoko każe to oceniać rolę Lublina, pośrednio

## 15 sierpnia 1317 r.

mają po kilka takich dokumentów) i jest przekonany, że to właśnie ten pierwszy.

Stąd też historycy nie są zgodni w swych opiniach o dokumencie lubelskim, chociaż trzeba podkreślić, że zbyt mało wzbudził on zainteresowania. W 1942 roku poświęcił mu pracę niemiecki historyk Erwin Hoff, zaś w 1958 r. obszerny artykuł Wiesław Müller, a w 1962 r. sporo uwagi Kazimierz Myśliński. Inni historycy tylko mimochodem nim się zajmowali, bez zastrzeżeń godząc się, podobnie jak Hoff i Myśliński, iż jest to dokument lokacyjny. Jedynie Müller sądzi, iż związany on jest z nadaniem tylko wójtostwa lubelskiego Maciejowi. Zajęcie zdecydowanego stanowiska utrudniają jednak niezbyt jasne sformułowania formularzowe. Niemniej trudno jest godzić się, iż jest to dokument w pełnym tego słowa znaczeniu lokacyjny, a z drugiej strony zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż właśnie tym dokumentem Lublin otrzymał niemieckie prawo miejskie. Za taki też uchodził w pojęciu mieszczan lubelskich, którzy zawsze zapatrywali go numerem pierwszym pośród innych dokumentów w archiwum miejskim. Na początku XVII w., może z powodu oderwania pieczęci od naszego dokumentu, przez co tracił on moc prawną, postarali się o wpisanie go do metryki koronnej, będącej odpowiednikiem archiwum państwowego i dopiero z niej sporządzono odpis, którego zgodność z oryginałem wpisu potwierdził Zygmunt III Waza. Odpis taki miał te same walory prawne co i oryginał.

Dokument z 1317 r. z jednej strony określa prawa wójtów lubelskich, z drugiej zaś mieszczan. Wójt otrzymał wójtostwo. Nie określono jednak, ile ono będzie wynosiło łanów ziemi. Zazwyczaj miasta miały wójtostwa liczące od 4 do 8 łanów ziemi, tj. około 72 do 144 ha. W roku 1342 wójtostwo lubelskie liczyło 6 łanów, tj. około 108 ha ziemi. Była to więc wcale ładna posiadłość ziemna, a nie stoi na przeszkodzie aby przyjąć, że taką samą ilość łanów otrzymał wójt już w 1317 r. Otrzymał wówczas także co 6 denar z czynszów od łanów zagospodarowanych przez mieszczan. Ci zaś otrzymali 100 łanów. Tak więc roczny dochód wójty z czynszów mógł wynieść 1000 denarów, czyli około 4,17 grzywny, tj. prawie 792 g srebra. Oczywiście było to realne tylko wówczas, gdy zostały zagospodarowane wszystkie owe 100 łanów. Do wójty należał również co trzeci denar płynący z kar sądowych, nawet wówczas, gdy wyrok w sprawie mieszczan lubelskich zapadał w sądzie książęcym. Do wójty miały należeć wszystkie jatki, karczmy, ławy chlebowe i szewskie, tylko on mógł budować młyny na terenie miasta, jego był co szósty sklep sukieniczy i kram, rzeźnia i laźnia, a także tylko on miał monopol na łowienie ryb, co przy częstych wówczas postach było źródłem nie lada dochodów. W 1342 r. wartość wójtostwa lubelskiego ustalono na 140 grzywnien czyli 26 kg srebra. Można przypuszczać, że niewiele mniejsza była wartość wójtostwa w 1317 r. Mieszczanie mieli podlegać przepisom prawa miejskiego magdeburskiego i sądzić ich mógł wyłącznie wójt. Kupecy lubelscy uzyskali zwolnienie od cel na wszystkich komorach celnych istniejących w 1317 r. w Polsce. Wszyscy mieszkańcy uzyskali wolność, czyli zwolnienie od czynszów, aż na 20 lat. Po ich upływie mieli płacić rocznie jeden wiardunek z każdego uprawnego łanu, czyli około 47,5 g srebra. Uzyskali również prawo do posiadania wspólnego pastwiska do wypasania bydła, od którego to wygonu nie musieli płacić czynszów.

W zasadzie postanowienia naszego dokumentu nie różnią się od postanowień innych tego rodzaju przywilejów Lokietka. Najbardziej zastanawia jedynie owa wolność, że lat, bardzo długa, przy czym wręcz mówi się, że nadaje się ja ut. comodius et melius possit locari civitas memorata (aby... łatwiej i lepiej mogło być pomienione miasto lokowane). Zdaje się to sugerować, iż miasto ma być dopiero zakładane. Co więcej, owa wolność

co prawda, w staraniach Lokietka o koronę królewską. Musiał również i Lublin gwarantować spore dochody, a więc albo już być dobrze zagospodarowany, lub posiadać warunki na takie zagospodarowanie. Jeżeli stanowił dostateczne zabezpieczenie kredytów dla nasze przysposobienie jest słuszne, uruchomionych przez Macieja.

Sumując tych kilka uwag nad dokumentem z 1317 r. trzeba stwierdzić, że brakuje przesłanek, aby niedwuznacznie uznać go za dokument lokacyjny. Niewątpliwie mieszkańcy wójtostwa lubelskiego, które jednak mogło być stworzone właśnie tym dokumentem, a niekoniecznie już musiało istnieć. Niewątpliwie również ten dokument nadawał Lublinowi prawo miejskie magdeburskie, co w niczym znów nie przekreśla możliwości, iż Lublin miał charakter osady miejskiej; sugeruje to osada na wzgórzu Staromiejskim, która mogła posługiwać się niektórymi postanowieniami prawa magdeburskiego. Myślę, że historycy nie będą mogli nigdy rozwiązać ostatecznie wysuniętych tu pytań, ale dalsze badania mogą bardzo zbliżyć nas do odtworzenia rzeczywistości z 1317 r. Uroczyście tegoroczne są dobrą do tego zachętą. Dziś, siłą bowiem, szukając miejskich początków Lublina, tylko ta data — 1317 r. — może być brana pod uwagę, jako najwygodniejszy punkt odniesienia dla uroczystości jubileuszowych.

Na koniec kilka uwag o formie naszego dokumentu. Jest on spisany na pergaminie tzw. niemieckim lub północnym, czyli wyprawianym z obu stron. Dobrze zachowane pismo jest charakterystyczne dla kancelarii krakowskiej, pozostającej już pod wpływami kancelarii papieskiej, transponowanymi na grunt polski poprzez kancelarie królów francuskich i węgierskich. Widać również wyraźne wpływy ładne rotundy włoskiej, charakteryzującej się szlachetnymi kształtami, łagodnymi łukami, przy zachowaniu podstawowych cech pisma gotyckiego. Niektóre litery, zwłaszcza wielkie, mają jaskulne, wykazują cechy starsze, charakterystyczne dla kancelarii wielkopolskiej, zostającej pod wpływami śląskimi a nawet nadreńskimi. Ich to wynikiem jest szlachetna kratownica liter majuskułnych, nieślusznie przez Hoffa uważana za oczywisty wpływ niemiecki na pismo polskie. Dyktatorem naszego dokumentu, a więc tym, który układał jego treść, najwyraźniej był kanclerz krakowski Franciszek, dobrze znający kancelarię papieską, wykształcony może na bolońskim uniwersytecie prawnik. Nie ma jednak pewności, czy on również spisał nasz dokument; przeciwnie, wydaje się to mało prawdopodobne. W sumie forma dokumentu lubelskiego dowodzi, iż w r. 1317 Lokietek czynił zabiegi o podniesienie poziomu swej kancelarii.

Józef Szymański



Strona tytułowa informacji o postacie Lublina wydanej w Niemczech w 1317 r. (patrz artykuł „Spalenie Lublina” str. 9)

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA  
(1865—1942)

## Bystrzyco młodości rzeko

Księżyc na Wisły nurt pomost rzucił,  
głosem jak pieśń rzeki szklanym  
srebrnie, kusząco nucił:

„Patrz, to nie Wisła jest, to Bystrzyca,  
czas wiąże, by nie uciekał,  
tak twoich młodych rzeka”.

Krok jeden — pomost w srebrze kowany,  
wstecz chodzi zegar księżycy,  
chwila spętana czeka.

Jak pocisk w szum się wdziera szuwarów  
łódka, powiek drgnieniem parta,  
łaki odwraca karty.

O, prędzej, prędzej! Tam, za zakrętem  
jest jedno miejsce pamiętne,  
ławka pod wierzbą starą.

Rumak, szarpnięty nagle wędzidłem,  
kajak zatrzymał w biegu.  
Wierzbo! On ją porzucił...

Rzeko! Bystrzyco! Zwodnicze sidła!  
Noc srebrna nad Wisły brzegiem,  
księżyc pieśń szklaną nuci.

TADEUSZ BOCHEŃSKI  
(1895—1962)

## Odrodzenie

Jacy będą poeci przyszłości?  
Ludzie, jak zwierzęta, tacy prości.  
Myśmy już pogięci, pozwijani,  
zdzierawczeli w szukaniu nowości.  
Oni wrócą do chleba i wina,  
do ziarnistej rosy na roślinach,  
do zwykłego: Kocham się w motyłu,  
do drżącego: boję się otchłani.  
Otchłań znowu! Człowiek i głębina!  
Zgiełk się kończy, poezja zaczyna.

JOZEF CZECHOWICZ  
(1903—1939)

## Przed Dworcem Głównym w Warszawie

z okien bryzgało blaskiem  
królował w niklach bufet  
były pod sufity plaski  
fontanny kwiatów krucho

są tam firanki płyną  
dają tło ceniom sytych  
czy to nocną godziną  
czy szronowym przedświtom

alkoholu symfonie  
fugi jarzyn i mięsa  
ciszej grajcie w agonii  
żywy głód się wałęsa

Jeden głód kaszle szeczka  
drugi głód palec łamie  
na cóż trzeci głód czeka  
drżąc we wnęce przy bramie

wielookie zarosłe  
twarze głodów człowieczych  
to są biedne księżycy  
spustoszałych wszechchrzeczy

dyszka kaszają w runo  
wytartego szalika

mówię wam przez nie runa  
mocne twierdze jerycha

HENRYK DOMIŃSKI  
(1913—1940)

## O matce

Nocą po rzece pływali złotymi kołami wiatr,  
cichą muzyką szumił w zielonym  
[strumieniu drzew,  
księżyc jak śnieżna łąka  
[w nadbrzeżnej wiklinie się kładł,  
mosiężne smugi zaplatał  
[w rozwarcie skrzydła mew.

U bram dzieciństwa poznałem lodowy świat,  
kiedy szepci matki na szybach umierał,  
opadających żenie gasł kwiat,  
polarną jasność otwierał.

Odpywała srebrnym aniołem,  
kolysała niebo warkoczami,  
nad księżycowym siołem  
sny się wily wielkimi chmurami.  
Czemu, matko,  
gwiazdy krążą w powietrzu nieruchomym,  
gdy w białej sukience stajesz  
przed moim domem?  
Może objąłem sercem błękitny ogień meteorów?  
Czarnym rycerzom nocy podaję kamienną twarz.  
Nikniez za wędą smutku,  
niełoperze trzepocą o blask.  
Oto wśród ciemnych ugorów obca powstaje pieśń,  
której zapamiętać nie umiem, a pojąć nie mogę,  
na jakie fale ją nieść.

STANISŁAW GRĘDZIŃSKI  
(1895—?)

## Droga

Droga się wlece prosto nudnie  
tak niepotrzebnie tak bez końca  
w samo południe  
pełne słońca

Idą stronami w plachu grzędach  
telegraficzne strunne słupy  
Idą jęklawie długim rzędem  
na horyzontów biały upał

w rowie przydrożnym leży człowiek  
dalej już widać iść nie może  
spod zastygłego wosku powiek  
oko się szkliło po złych bezdrożach

glazem bezwładnie legła głowa  
rozważa zdarzeń ścieżki ślepe  
bo przemknął po niej pływający owad  
oczy ośliniły śliskim skrzepem

wpełza na drogę wojska tuman  
skargi żołnierskiej jękał nuta  
w rów się pochylili młody ulan  
i ściąga z trudem z trupa buty

krwi mu koralik padł ołowiem  
nie drgnęła droga poszła prosto  
przy drodze szary bosy człowiek  
w plach się położył i pozostał

ZENON WAŚNIEWSKI  
(1891—1945)

## Ósmy września 1939

Ptaki, ogromne ptaki...  
Jeszcze nie widać nieruchomych skrzydeł,  
a szum, jak gdyby orkan, już taki  
jak apokaliptycznych straszdeł.  
Zrywa się stado oszalałych wron,  
ściemnia się zachód, potężnieje głos,  
bajecznych trzmieli ton  
z szybkością strzały zmierza ku nam wprost.

Warkot przesywa na wskroś aż do trzewi,  
drżanie ogarnia niebieską kopułę.  
Człek, marny robak, gdzie schować się, nie wie,  
chciałby się liściem stać, piaskiem lub mułem.

Ziemia z posad ruszyła i zrywa obroże.  
Człowiecze male serce lomoce wśród ścian.  
Człowiecze male serce modlić się nie może.

Ptaki, potworne ptaki... Kto przypuścił?...  
Choć już nie widać nieruchomych skrzydeł,  
przejmuje szum, jakby z piekielnych czeluści  
wszystkie szatany wypuścił z wędzidel.

# Poeci lubelscy którzy odeszli...

BOLESŁAW LEŚMIAN  
(1877—1937)

## Romans

Romans śpiewam, bo śpiewam! Bo jestem śpiewakiem!  
Ona była żebraczką, a on był żebrakiem.

Pokochali się nagle na rogu ulicy,  
I nie było uboższej w mieście tajemnicy...

Nastąpiła noc majowa, gwiazdiście wesola,  
Siedli — ramię z ramieniem — na stopniach kościoła.

Ona mu podawała z wyrazem skupienia  
To usta do pieszczoty, to — chleb do gryzienia.

I tak, śniąc, przegrzali pod majowym niebem  
Na przemian chleb — pieszczotę, a pieszczotę — chlebem.

I dwa głody syelli pod opieką włosny:  
Jeden głód — ten żebraczy a drugi — miłosny.

Poeta co ich widział, zgadł, jak żyć potrzeba:  
Ma dwa głody, lecz brak mu — dziewczyny i chleba.

WŁADYSŁAW PODSTAWKA  
(1912—1942)

## Czterech jeźdźców

— Matko, odpływam od ciebie — coraz się bardziej oddalam.  
Już dawno mroki opadły szarym, zbutwiałym welonem,  
a ślepy koń ciągnie złamany plug.  
Wiatr gwiazdy pozapałat,  
I sterczy za wygonem  
spieczasty stóg.

Huczały pola wzdęte — tętniły groźne pagóry —  
krwią spływał ku parowom kolezasty berberys,  
gdy słońce jak grosz wdowi upadło w staw.  
Potem waliły się mury —  
w gąłpie Jeźdźcy Czterej  
wypadli z mrocznych naw.  
— Modląc się za umarłych — pomódl się za mnie żywego —  
otom bezbronny i słaby — dźwigam się i uginam.  
Ten pierwszy startuje mnie!  
Nie wydaj mnie na zgubę błądnącemu ku mnie szeregom —  
ratuj swojego syna —  
ręce nade mną wzniesi!...

MIECZYŚLAW KOSSOWSKI  
(1892—1946)

Zostanie po mnie myślą ciąg wśród czarnych kolumn liter,  
jak wśród śnieżycy kawek sejm obradujący świtem.  
Zostanie po mnie głuchy krzyk, groźniejszy niż przed wiekiem,  
bo zimna droga wiedzie w świat: najbliższe po dalekie.  
Zostanie po mnie rąk mych ślad: czytanka z obrazkami.  
Dzieciom nie dajcie nigdy jej, bo krwią księżyczka plami.

STANISŁAW CIESIELCZUK  
(1906—1945)

## Trawy, zjawy...

J. M. Rytardowi

Trawy, zjawy, drzewa i chmury,  
Rozrzucone w światy bez nazw.  
W jeden świat z nakazu wichury  
Zbiegły mi się na krótki czas.

Chciała myśl uchwycić, zrozumieć  
I utrwalić znikomy twór,  
Chciała słyszeć w chwilowym szumie  
Nie milknący na wieki chór.

Ale wieki szumią zatrata,  
Oto znowu wichura dmie,  
Porozmiata w tysiące światów  
Trawy, zjawy, chmury i mnie.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC  
(1895—1958)

## Uczucia

Strach jest błąd  
Strach — zielony,  
Żółty straszek.

Gniew — jest błąd.  
Gniew — czerwony.  
Siny czasem.

Tylko radość —  
nigdy błada  
lecz w promieniach,  
Światłem w barwach gra na przemian.

Gniew ze strachem — braćla z cienia.

BRONISŁAW LUDWIK  
MICHAŁSKI (1903—1935)

## Zachód

Niebo pada z wysoko ostrym sierpem,  
za Wisłą czerwieni się w plachu.  
A jak tak idę i nie wiedząc czerpie  
nie wiedząc, jesienny ten zachód.

Już wszystek wabrałem zmęczoną czerwienią,  
że tylko czerń włosów mam czarną.  
Wnet oddam złą czerwienią, wnet oddam złym  
[cieniom,

niech wszystko wraz ze mną zagarną.

Jak Krzysztof na barkach przenoszę ten  
[zachód,

nim świtem błysnąłem na wiosnę,  
Wraz z niebem szerniałym przygnałem  
[do plachu,  
a jutro, czym jutro wyrosnę?...

**W** DRUGIEJ połowie maja 1932 roku kilkanaście osób zajmujących się pracą literacką otrzymało pismo następującej treści:

„Komitet Organizacyjny Towarzystwa Literatów w Lublinie prosi Pana uprzejmie o przybycie na pierwsze zebranie (inauguracyjne) Towarzystwa. Odbędzie się ono przy ulicy Niecałej 6 (I piętro) w dniu 21 maja 1932 roku o godzinie 7 wieczorem.

Na porządku obrad: zapojenie, wybór prezydium, omówienie statutu, wybór zarządu, wolne ustosunkowanie.

Pod zaproszeniem znajdowały się dwa podpisy: Franciszka Arnsztajnowej i Józefa Czechowicza. Ten ostatni występował do pewnego stopnia w roli gospodarza; przy Niecałej 6 mieszkała Sokoła Specjalna, której Czechowicz był kierownikiem. Zapowiedziane zebranie oznaczało początek jednego z ciekawszych epizodów literackich lubelskich dwudziestolecia. Epizod godzien ze wszech miar przypomnienia.

Lata po 1930 r. nie mają wszak bogatej literatury, nie obrosły tylu wspomnieniami, co czasy pierwszego dziesięciolecia, okres legendarnego niemal „Reflektora”, który koło 1927 r. zamknął swoją działalność.

wicz, na członków zarządu — Franciszka Arnsztajnowa, Wacław Gralewski i Antoni Madej. Wkrótce zaszły pewne modyfikacje. Na najbliższym zebraniu zarządu Czechowicz zrzeka się prezury na rzecz Arnsztajnowej, co — po wysłuchaniu motywu — zostało przyjęte. Ostatecznie władze Związku ustąpiły następująco: Arnsztajnowa była prezesem, Czechowicz wiceprezesem, Madej sekretarzem, a Gralewski skarbnikiem. Stan ten trwał do walnego zebrania, zresztą skład zarządu co pewien czas się zmieniał.

Jakie zadania stawiał sobie Związek, co ta niewielka grupa pisarzy pragnęła osiągnąć? Projekt statutu tak to ujmował:

„Celem organizacji jest nawiązanie ścisłego kontaktu między miejscowym gronem literackim oraz ułatwienie mu zetknięcia się z publicznością w słowie i piśmie. Do tego celu Związek Literatów dążyć będzie przez: a) regularne i częste zebrania dyskusyjne, b) organizowanie odczytów, wieczorów literackich itp. dla szerszej publiczności, c) organizowanie zbytu dla produkcji literackiej członków Związku, d) akcję wydawniczą własną, e) utrzymywanie kontaktu z pokrewnymi organizacjami literackimi”.

Dla określenia dalszej działalności Związku, a zwłaszcza jego

na w sali Towarzystwa Muzycznego akademii w 25 rocznicę śmierci Wyspiańskiego. Głównym jej inicjatorem był zapewne Czechowicz. Reklama tej imprezy oraz jej oprawa była bogata — wydrukowano zaproszenia oraz dwie wersje graficzne programu, który m. in. obejmował słowo wstępne W. Gralewskiego, odczyt Czechowicza o Wyspiańskim pt. Imię wielkości oraz recytacje utworów autora Wesela i związanych z charakterem uroczystości wierszy Bielskiego, Czechowicza i Gralewskiego. W części muzycznej wykonano utwory Chopina i Beethovena.

Bogato przedstawiał się program zebrań dyskusyjnych. Miały one dotyczyć nowości książkowych oraz takich zagadnień jak realizm — surrealizm, freudyzm — sen, treść i forma w poezji. Na ostatni temat mówił w osobnym odczycie J. Czechowicz, a poza tym odbyły się m. in. takie jak A. Madeja o kryzysie kultury współczesnej, K. Heftmanowej w Pawle Valéry a J. Brauna o Hoene-Wroński. Planowano też odczyt Boja, co roku odbywały się wieczory autorskie pisarzy Związku w Lublinie.

Na specjalną uwagę zasługuje akcja wydawnicza. Związek firmował szereg pozycji książkowych, drukowanych zwykle nakładem własnym

jego buty, Do rodzinnego miasta, Na szczycie, Na szczytach, Sonet IV, Mallory, List Saccu do syna; Kasperki — Bunt; Leśnian — Przemiany, Swojryga i Midryga, Dąb, Ballada bezładna, Łąka; Madej — Mare tenebrarum, Widok z Kępy Okrycia, Droga, Poległym w bojach, Tworzyć swoją... Muzy, Wesołość, Wydyma, Rosnąc czas i milczeniem, Rysuje się na ścianie świata, Pogrzeb, Michałki — Wiejski kościół, Bryś, Podlasie; Podstawa — Ręce matczyne; Młodzieniec — tytuł wiersza nie podany.

W dziale prozy miały znajdować się teksty Galisa, Gralewskiego, Grędziańskiego, Jaworskiego, Kłosowskiego i Małewskiej.

Spis ten świadczy, że gdyby Almanach Lubelski otrzymał był kształt książkowy, stanowiący, przynajmniej w lubelskim życiu literackim, wielkie wydarzenie artystyczne.

Podobnie ciekawy, choć równie nie spełniony, pozostał pomysł wydawania przez Związek własnego organu prasowego. Myśl o samodzielnym piśmie istniała niemal od chwili powstania Związku. Mówiło się o tym na zebraniach zarządu jeszcze w czerwcu 1932 r., a na walnym zebraniu w listopadzie tego roku sprawę pisma podejmuje K. A. Jaworski. Na początku zamie-

znaku życia. Stała emigracja członków Związku do Warszawy (Czechowicz, Domański, Łobodowski, Arnsztajnowa) paraliżuje energię i działalność, tym bardziej, im reszta rozrzucona po całej Lubelszczyźnie. Należałoby jakoś tę energię dotychczas instytucji oddać albo w ślad za rezygnacją z działalności zrezygnować również i z istnienia samego Związku. Związki liczy obecnie siedemnaście osób: Arnsztajnowa, Czechowicz, Domański, Łobodowski, Michałki, Mrozowski i Piętał w Warszawie, Fiszarow, Gralewski, prof. Kamiński, Madej i K. Zaleski w Lublinie, Jaworski, Kasperki i Popowski w Chełmie, Bielski i Kłosowski w Krasnymstawie.

Kiedy jednak w połowie 1935 r. przenosi się do Warszawy i A. Madej, praca Związku zamiera. Prowadzą ją już tylko popowski i Podstawa i Z. Popowski organizacja kilka wieczorów dyskusyjnych literackich, ale to już było wszystko. Jednym z ostatnich uchwytnych przejawów aktywności Związku było firmowanie tomu wierszy Heleny Platty Książycowej Lublin w 1937 r.

Jak ocenić wypadnie wynik kilkuletniej pracy Związku Literatów Lubelskich? Nie wszystkie jego składniki dają się ściśle uchwycić i wymierzyć. Ale nie ulega wątpliwości, że działalność tę należy uznać w całości za zjawisko ważne, potrzebne i takie, które spełniło wiele z postawionych zadań. Pisarze skupieni w Związku nie działali na kulturalnym czy literackim terenie. Nie był Związek pierwszy, ale stanowił jedno z istotnych ogniw rzeczywistości kulturalnej przedwojennej Lublina. Obejmował on organizacyjnie całą ówczesną społeczność pisarską — od seniorów Arnsztajnowej, przez członków „Reflektora” do najmłodszych. Zasługi jego są widoczne. Po efektywnych, ale szybko zgasłych bliskich „Reflektora” Związek Literatów był przedsięwzięciem, które zapewniło stałość i systematyczność pracy literackiej. Nie miał on ambicji tworzenia zwartej grupy literackiej, związanej wspólnym programem artystycznym. Skupiał jednak rozproszone inicjatywy, pobudzał do pracy przez wprowadzenie pisarskiego współzawodnictwa. Jednoczył zagubione w terenie indywidualności pisarskie, stwarzając aktywne środowisko dające punkt oparcia i poczucie wspólnoty.

Na wieczorach literackich i dyskusyjnych sprawdzali pisarze społeczną przydatność swych utworów; umożliwiały one oddziaływanie na inne środowiska kulturalne oświatowe. Na imprezy Związku Literatów zapraszano przedstawicieli licznych instytucji oraz kilkadziesiąt osób ze sfer intelektualnych. Na liście zapraszanych znajdowali się m. in. M. Popławski, H. Jakubanis, H. Zyczynski, J. Krzyżanowski, Z. Kukulski, F. Araszkiewicz, L. Kamykowski, J. Pliśczyska, H. Madejowa i A. Grychowski.

Liczne publikacje ogłaszane pod firmą Związku, energiczna akcja informacyjna i propagandowa prowadzona w prasie miejscowej i ogólnopolskiej uczyniły sławę Lublinowi jako jednemu z ośrodków nowatorskiego i twórczego ruchu poetyckiego. Takie było ówczesne przekonanie i dawano temu niejednokrotnie wyraz. Pojęcie awangardy lubelskiej, uosobiane przez Czechowicza z tego czasu właśnie pochodzi, a miało ono obieg i późnie, kiedy Lublin poetycki przyniósł się na warszawskie Powiśle.

Pada w tym szkicu często nazwisko Czechowicza. Nie powinno to dziwić. Nie tylko dlatego, że autor Kamienia był współzałożycielem Związku i może najaktywniejszym jego członkiem. Także i dlatego, kim Czechowicz był później, kim jest dla nas. Trudno w ogóle orzec, ile Czechowicz zawdzięczał atmosferze literackiej Lublina. Oddziaływanie było na pewno obustronne, zaś wpływ Czechowicza na niektórych poetów nawet bardzo sprawdzalny. Można w każdym razie stwierdzić, iż Czechowicz jako poeta ukształtował się niemal całkowicie w Lublinie, tu ugruntowały się podstawy jego poetyki. Do Warszawy wyjeżdżał Czechowicz jako autor Kamienia, tomu dzieła jak codziennych ballad z tamtej strony, gotowe były wiersze z tomu Stare kamienie i większość ze zbioru w Białymostku. Mówiły one o poecie określonym, świadomym, wykrystalizowanym. Nie ma więc co ukrywać, że i dzieło Związku Literatów w Lublinie przysłużyło się w znaczący sposób powstaniu i prac Związku, waży na jego dalszej aktywności, która — po dynamicznym rozwoju w latach 1932—1933 — stopniowo osłabła. Czechowicz po wyjeździe do Warszawy nie przestał być członkiem zarządu, ale nie mógł brać w jego pracach skutecznego udziału.

Odejsie Arnsztajnowej do Warszawy — po uprzedniej emigracji Czechowicza, Domańskiego i Michałskiego — jeszcze bardziej osłabiło Związek Literatów, zabrakło bowiem inspiratorki o dużym autorytecie. Po tych wszystkich emigracjach sytuacja Związku przedstawiała się niewesoło. Całość spraw organizacyjnych spoczęła wtedy w rękach Antoniego Madeja, któremu praca nauczycielska nie pozwoliła na pełne zaangażowanie w prace Związku. Po tych wszystkich emigracjach sytuacja Związku przedstawiała się niewesoło. Dobitnie określiły to „Dziwigary”:

„Lubelski Związek Literatów nie daje od dłuższego czasu żadnego

## O LUBELSKIM ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH (1932—1937)

# W SZEREGACH AWANGARDY

TADEUSZ KLĄK

Opracowana przez Czechowicza w „Ziemi Lubelskiej” z 1930 r. kolumna wierszy tej grupy poetyckiej wraz z artykułem jego siostry, Kazimierzy Głuszczyńskiej, na temat „Reflektora” stanowiła raczej przypomnienie niedawnej heroicznej przeszłości niż manifestację aktualnych dokonań poetyckich. W tym samym roku pisał Czechowicz do Józefa Nikodema Kłosowskiego, że „Reflektor” umarł i pogrzebion.

W okresie, o którym tu mowa, nie brakowało inicjatyw związanych z literaturą. Przy „Ziemie Lubelskiej” ukazywała się kolumna literacka prowadzona przez Czechowicza, przez pewien czas działała grupa poetycka „Kadra” (J. Szczawieja, A. Madej i W. Czereszewski). Od stycznia 1932 r. zaczyna wychodzić „Kurier Lubelski” pod redakcją J. Czechowicza, drukujący wiele utworów literackich, w tym wiele wierszy samego redaktora. Tego samego roku ukazują się miesięczniki „Trybuna” i „Barykady”. Wszystkie te poczynania nie miały jednak charakteru trwałego. Toteż w artykułach o sytuacji kulturalnej w Lublinie po 1930 r. czytamy niekiedy o zastój kulturalnym, o istnieniu zamkniętego zaścianka. Jedną z prób przełamania tego zastój było właśnie powstanie Związku Literatów. Nie dokonano się to nagle. Jeszcze bowiem w październiku 1930 r. pisał Czechowicz do J. N. Kłosowskiego: „O związku literatów myślę od chwili powrotu z Francji. Przeprowadziłem nawet wstępne konfrontacje z Madejem i Arnsztajnową”. A więc dojrzenie projektu trwało niemal dwa lata.

Piszący o Związku Literatów Lubelskich znajduje się w sytuacji dosyć szczególniej: ma dostęp do materiałów źródłowych, podstawowych. Zachowała się książka protokołów z zebrań walnych i zarządu, sporo urzędowej korespondencji, listy Czechowicza, Arnsztajnowej i K. A. Jaworskiego tyczące pracy Związku. Dostępne są wydawnictwa, afisze, programy, zaproszenia. Zebraniu założycielskiemu przewodniczył Kazimierz Andrzej Jaworski a otworzył je Czechowicz programowym przemówieniem, które wyrażało „katastroficzne odczuwanie świata”. Bardzo poetycka i patetyczna mowa wzywała do wspólnoty, do stawienia czoła idącemu czasem:

„Dla współmierności z epicką wielkością naszego ginącego wieku musimy stworzyć zespoły, by podnieść głos przecieku siłom żywiołu. Słepiej mocy musi się przeciwstawić tna moc, siła świadomości zbiorowości. Oparci o grunt, związani z głębą ojczystego regionu, pewni łańcucha przyjacielskich rąk, inaczej będziemy patrzyli w życie.

Lublin, miasto odczyszczone, jest również jednym z odcinków wielkiego frontu przeobrażeń. Gdyśmy gromadą, zespołem istotnie świadomym, znowuż możemy wiele na szali niewidzialnej”.

Na pierwszym spotkaniu pisarzy przedyskutowano przedstawił Czechowicz projekt statutu Związku, który poddał dyskusji, oraz powołano zarząd. Na prezesa Związku jednomyślnie został wybrany Czechowicz, na członków zarządu — Fran-

czyszka Arnsztajnowa, Wacław Gralewski i Antoni Madej. Wkrótce zaszły pewne modyfikacje. Na najbliższym zebraniu zarządu Czechowicz zrzeka się prezury na rzecz Arnsztajnowej, co — po wysłuchaniu motywu — zostało przyjęte. Ostatecznie władze Związku ustąpiły następująco: Arnsztajnowa była prezesem, Czechowicz wiceprezesem, Madej sekretarzem, a Gralewski skarbnikiem. Stan ten trwał do walnego zebrania, zresztą skład zarządu co pewien czas się zmieniał.

Jakie zadania stawiał sobie Związek, co ta niewielka grupa pisarzy pragnęła osiągnąć? Projekt statutu tak to ujmował: „Celem organizacji jest nawiązanie ścisłego kontaktu między miejscowym gronem literackim oraz ułatwienie mu zetknięcia się z publicznością w słowie i piśmie. Do tego celu Związek Literatów dążyć będzie przez: a) regularne i częste zebrania dyskusyjne, b) organizowanie odczytów, wieczorów literackich itp. dla szerszej publiczności, c) organizowanie zbytu dla produkcji literackiej członków Związku, d) akcję wydawniczą własną, e) utrzymywanie kontaktu z pokrewnymi organizacjami literackimi”.

Dla określenia dalszej działalności Związku, a zwłaszcza jego charakteru, zasadnicze znaczenie miało walne zebranie, które odbyło się 27 listopada 1932 r. Związek powstał jako organizacja samostanna, ale — zwłaszcza wobec perypetii związanych z zatwierdzeniem statutu — rozważano możliwości i innych rozwiązań. Jedną koncepcją, przedstawił ją przez W. Gralewskiego, przewidywała przystąpienie lubelskiej grupy do Zrzeszenia Związków Zawodowych Literatów Polskich. Inne było stanowisko Czechowicza: cele i programy — cytując według protokołu — pracy Zrzeszenia i Związku nie pokrywają się nawzajem. Zrzeszenie ma na celu raczej sprawy organizacyjne i zawodowe, Związek zaś kulturalne z podkreśleniem obowiązku regionalizmu. Czechowicz, nawiązując do propozycji Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaproponował przystąpienie Związku do organizacji, która miała zjednoczyć wszystkie lubelskie środowiska i towarzystwa kulturalne. W jej ramach Związek Literatów miałby zapewnić niezależność finansową i całkowitą autonomię. Po dyskusji większość opowiedziała się za samodzielnością i współpracą z Towarzystwem Przyjaciół Nauk, a dopiero na początku 1934 r. Związek Literatów przystąpił do powołanego Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej.

Sprawa statutu, jego zatwierdzenia i legalizacji Związku to osobna i ciekawa historia, na którą tu nie ma jednak miejsca. Zajęła ona wiele posiedzeń zarządu, starania w tej sprawie prowadził Czechowicz, Gralewski i Madej, ale — jak się wydaje — do zatwierdzenia statutu nigdy nie doszło, tak że Związek z formalnego punktu widzenia był organizacją nielegalną. Co nie przeszkadzało jednak w najważniejszym: w rozwijaniu bogatej działalności. A ta była wyjątkowo bogata i różnorodna.

Opracowano projekty wydawnictw książkowych, własnego czasopisma, organizowano wieczory autorskie, zebrania dyskusyjne, urządzano spotkania na prowinie. Nawiązana została współpraca z innymi ośrodkami literackimi, czyniono zachody wokół zorganizowania czytelni czasopism literackich oraz biblioteki poetyckiej. Obserwując tę gorączkową działalność Związku w latach 1932 i 1933 szczególnie odnosi się wrażenie, jakby chciał on od razu wyrównać wszystkie zaniedbania i zaległości i nadać życiu literackiemu w Lublinie jak największy rozmach. Zebrania i imprezy Związku miały oparcie w lokalnym Związku Naczelniactwa Polskiego, choć większość zebrań zarządu odbywała się w mieszkaniu Arnsztajnowej przy ul. Złotej.

Pierwsze publiczne wystąpienie Związku odbyło się poza Lublinem. W pierwszej połowie listopada 1932 r. zorganizowano wieczór autorski Związku w Krasnymstawie i w Chełmie. Organizatorem faktycznym pierwszego był J. N. Kłosowski, a drugiego — K. A. Jaworski. Mieszkał on bowiem na miejscu. Podobne wieczory miały się odbyć w Białej Podlaskiej i Zamościu, ale do tego nie doszło. W pewien czas później odbył się udany wyjazd grupy pisarzy lubelskich na spotkanie do Białegostoku. Uczestniczyli w nim: J. Czechowicz, H. Domański, K. A. Jaworski i A. Madej.

Ważnym wydarzeniem było wydanie przez Związek 10 proc. zysku ze sprzedaży tomików, zapewniając z zamian autorom recenzje, artykuły i wzmianki w prasie miejscowej oraz rynek zbytu. Pod firmą Związku ukazały się w 1932 r. Wczoraj B. L. Michałskiego oraz Odloty i Duszki Arnsztajnowej. Rok 1933 przyniósł Widokrog Madeja i Fałę mojej rzeki W. Kasperkiego, w latach następnych — nowe tomiki Madeja i Kasperkiego. Ośmiem pozycji w ciągu kilku lat, to nie było mało, tym bardziej, że wiele książek m. in. Czechowicza i Jaworskiego ukazywało się gdzie indziej.

Okazałe przedstawiał się plan wydawniczy Związku na r. 1934; miało ukazać się wtedy 7 tomów wierszy i prozy. Ponieważ cały ten plan pozostał jedynie zamierzeniem, warto go przypomnieć. Obejmował on Alfabet oczu S. Piętała, poemat Czechowicza Ziemia — dzienne gwiazdy, antologię poezji czeskiej i słowackiej w opracowaniu Madeja i Czechowicza, antologię poezji rosyjskiej Czechowicza i Jaworskiego oraz tomy prozy Bielskiego, Jaworskiego i Kłosowskiego.

Niemal od początku Związek Literatów myślał o publikacji zbiorowej swoich utworów. Najpierw był projekt jednodniówki, dopiero jednak w 1933 r. zamiar ten nabral cech bardziej wyrazistych. Mianowicie Towarzystwo Przyjaciół Nauk zwróciło się do Związku Literatów z propozycją opracowania monografii ruchu literackiego w Lubelszczyźnie po r. 1921. Projekt ten skrytykował się ostatecznie w postaci Almanachu Lubelskiego. Głównym jego organizatorem był Czechowicz, który wysłał pisma i ankiety, kompletował materiał. Do wydania Almanachu nie doszło, chociaż był on bliski kształtu książkowego, skoro Czechowicz w jednym z listów pisał, że Almanach już się drukuje, informował też o tym w „Zecie”. Maszynopis wydawnictwa spoczął zapewne w archiwach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, by ostatecznie urzeź światło w postaci znanej Antologii współczesnych poetów lubelskich ks. L. Zaleskiego. Porównanie wartości obu pozycji świadczy o istnieniu między nimi ścisłego związku. Niektóre sugestie autorów almanachu zostały w antologii wyzyskane, w licznych wypadkach wybór padał na te same utwory. (np. A. Madeja).

Zalawać należy, iż Almanach Lubelski nie ujrzał druku, jego zawartość była bowiem imponująca. Zachował się bowiem projekt zawartości tego wydawnictwa, napisany ręką Czechowicza, a uzupełniony przez Madeja i Arnsztajnową, niektóre nazwiska i pozycje były niekiedy skreślane. Warto ten projekt przepisać na prawach cennego dokumentu, niech będzie to śladem utrwalonym nie istniejącej książki. Oto wiersze:

Arnsztajnowa — Matce, Miasto, W stołcu, Przymierze, Głos poległych, Zaitwa, Wiatr nocny, Deszcz; Bielski: Ewokacja, Dom narodziły, Złoty osioł; Bocheński — Pożar; Czechowicz — Na wsi, Dno, Hymn, Preludium, O matce, Iliada tetni, Kaplica na Zamku; Domański — Manifestacja; Galis: Dramat nocny, Starzec śpiący; Gralewski — Legenda; Grędziański — Choinka, Pogrzeb, Krutyca; Husarski — O złościach kochankach; Jaworski — Szczęście, Skrzynka pocztowa, On i

Władysława Reymonta

Warszawa. 18.IV Instytutowa N. 10 Szanowna Pani.

Dotyczy Pani serdecznie za tak przyjazne słowa o mojej pracy, nie stety, nie wypadła ona tak jak ja pragnęłam, a tak jaką chciała ją pragnęłam, a tak jaką chciała ją pragnęłam...

Warszawa. 18. IV. 19. Instytutowa N. 10

Szanowna Pani.

Dotyczy Pani serdecznie za tak przyjazne słowa o mojej pracy, nie stety, nie wypadła ona tak jak ja pragnęłam, a tak jaką chciała ją pragnęłam...

O naszym pracodawcy i jego czytelnikach

W WROCŁAWIU w 1945 roku — część gazety składała się z dwóch stron...

W takich to mniej więcej warunkach narodziła się przed 20 laty Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza PRASA...

no zakłada się urzędzenia, przesyłające na odległość najbardziej aktualne fotografie...

— Jak — w kilku słowach — wyglądała prasa przedwojenna w naszym województwie?

BIAŁYSTOK: — Od 1919 r. ukazywał się „Dziennik Białostocki”...

KIELCE: — Trudno wymienić wszystkie tytuły, często się zmieniały...

LUBLIN: — Na miejscu drukowano 5 dzienników: „Express Lubelski”...

RZESZÓW: — Nie mamy w tej chwili danych. — Jakże pisma ukazują się teraz i jakie mają nakłady?

BIAŁYSTOK: — „Gazeta Białostocka” ukazuje się od 1 września 1951 r....

KIELCE: — Mamy tylko jeden dziennik „Słowo Ludu” od 29 września 1949 r....

ca 1957 r. popołudniówka „Kurier Lubelski” (62 tys.)...

RZESZÓW: — „Nowiny Rzeszowskie” mają nakład 124 tys. Ponadto 5 pism...

— Ile egzemplarzy gazet i czasopism sprzedaje się rocznie w województwie i ile egzemplarzy wypada na 100 mieszkańców?

BIAŁYSTOK: — Ponad 50 mln gazet na 100 mieszkańców...

KIELCE: — W zeszłym roku łącznie 53 170 tys. egzemplarzy...

LUBLIN: — 96 mln egzemplarzy w 1966 r. z czego 84 mln to wydawnictwa RSW PRASA...

RZESZÓW: — Prawie 85 mln egzemplarzy, w tym 49 mln poza „Nowinami”...

— Ilu macie dziennikarzy w województwie? Także poza RSW?

Białystok — 63, Kielce — 68, Lublin — 98, Rzeszów — 64.

— Podajcie liczbę kiosków i klubów Ruchu?

Białystok — 861 (443 wieś) i 253, Kielce — 805 (328 wieś) i 448...

— No i ostatnie pytanie: jakie były w ub. roku obroty Ruchu w sprzedaży gazet i czasopism i ile pieniędzy wypada na jednego mieszkańca?

Białystok — 39,7 mln zł — na mieszkańca rocznie 34,11 zł, Kielce 65,6 mln zł — 34,45 zł...

Tyle nasi rozmówcy. Od siebie dodajmy, że mimo olbrzymiego rozwoju czytelnictwa...

(jd)

O, jak dotąd, jeden z powracających, dość trwałych motywów w literaturze pięknej i zwłaszcza wspomnieniowej...

Wspólny pokój w bursie, w internacie, na stacji, wspólny pokój studencki...

Nasz wspólny pokój w Lublinie 1944 roku był szczególny: znajdował się jak gdyby pośrednio...

To mam zapisać: „Czwartek, 26.X.1944 roku. Wczoraj przyjechał St. Piętaś. Nocował u nas w pokoju u domu przy Radziwiłłowskiej 9...”

W naszym pokoju na piętrze zamieszkał w sierpniu najpierw we trójkę. Gdy zjawił się Piętaś, lokatorów było znacznie więcej...

Piętaś cenilem, stał ów zapis, jego wiersze przed wojną wywarły na mnie duże wrażenie...

lem w „Dekadzie”, warszawskim piśmie studenckim. Szybko tedy doszło do spowolnienia z naszym nowym lokatorem...

Staszek twierdził, żeśmy się poznali jeszcze w Wilnie, gdy towarzyszył wraz z Henrykiem Domini-

skim Józefowi Czechowiczowi, który wystąpił na środzisk literackiej w skrzydełku barokowego klasztoru oo. bazylianów...

Wycieczka wyjechała 25.XI, wróciła zaś nad ranem 21.XII.1944 roku. Staszek nadawał też do wspólnego pokoju, miał ich kilka z sobą...

Piętaś był z innymi „na herbatce” u przewodniczącego PKWN Edwarda Osóbki - Morawskiego, na przyjęciu u przedstawiciela ZSRR...

generała Mikołaja Bułganina, wziął wreszcie udział w wycieczce ówczesnych lubelskich intelektualistów do Moskwy...

kraczały możliwości wiersza lirycznego, przynajmniej w wypadku dość konwencjonalnego jego pojmowania...

„Pisz, nie zastanawiaj się nad kompozycją!” Staszek proponował mi więc improwizację...

tek, stanowiących jak gdyby automatyczny zapis, niczego poza szczegółami o wartości informacyjnej w nim nie ma...

Był to ostatni wspólny pokój w życiu Stanisława Piętaś. Czy ostatni w życiu innych? Niczego nie powinno się nadawać cech kategorycznych...

Staszek nadawał też do wspólnego pokoju, miał ich kilka z sobą, chętnie brał udział w rozmowach i sporach...

Wycieczka wyjechała 25.XI, wróciła zaś nad ranem 21.XII.1944 roku. Staszek nadawał też do wspólnego pokoju...

Był to ostatni wspólny pokój w życiu Stanisława Piętaś. Czy ostatni w życiu innych? Niczego nie powinno się nadawać cech kategorycznych...

Wycieczka wyjechała 25.XI, wróciła zaś nad ranem 21.XII.1944 roku. Staszek nadawał też do wspólnego pokoju...

Był to ostatni wspólny pokój w życiu Stanisława Piętaś. Czy ostatni w życiu innych? Niczego nie powinno się nadawać cech kategorycznych...

Staszek nadawał też do wspólnego pokoju, miał ich kilka z sobą, chętnie brał udział w rozmowach i sporach...

Wycieczka wyjechała 25.XI, wróciła zaś nad ranem 21.XII.1944 roku. Staszek nadawał też do wspólnego pokoju...

Był to ostatni wspólny pokój w życiu Stanisława Piętaś. Czy ostatni w życiu innych? Niczego nie powinno się nadawać cech kategorycznych...

Wycieczka wyjechała 25.XI, wróciła zaś nad ranem 21.XII.1944 roku. Staszek nadawał też do wspólnego pokoju...

Był to ostatni wspólny pokój w życiu Stanisława Piętaś. Czy ostatni w życiu innych? Niczego nie powinno się nadawać cech kategorycznych...

Wspólny pokój

IAN HUSZCZA

**K**IEDY wiosną 1648 r. wybuchła wojna na Ukrainie, mieszczanie lubelscy nie przeczuwali jeszcze nieszczęścia, jakie wkrótce miało spaść na ich gród, pięknie rozwijający się w wieku XVI i pierwszej połowie XVII. Wprawdzie po pierwszych sukcesach wojsk kozacko-tatarskich w mieście zapanowała trwoga, zajęto się pospiesznie naprawą obwarowań, skupowano broń, formowano załogę, zabroniono pod karą konfiskaty majątku oddalania się z mia-

stojów — to jeszcze niepełny bilans lubelskiego „potopu”. Z czasów wojen kozackich zachował się ciekawy i bogaty w treść dokument, w całości dotyczący naszego miasta. Posiada go obecnie Wojewódzka i Miejska Biblioteka dzięki historycznemu zainteresowaniu i bibliofilskiej pasji swojego patrona — Hieronima Lopacińskiego. Dokument ten — to anonimowa relacja naczelnego świadka o kłóskach i utrapieniach, jakie dotknęły Lublin po zajęciu miasta w październiku 1653 r. przez połączone wojska

„Gdy dnia 11 października nadeszły do nas zasadażące wiadomości, nikt nie uważał za słuszne stać uchodźcą, ponieważ było także zakazane przez zamek i ratusz udawać się choćby w najkrótszą drogę. Dnia 12 przybyli z Zamościa dwaj kupcy bez żadnych innych wiadomości, albowiem Kozacy o 2, 3 i 4 mile od Zamościa ukazywali się oddziałami liczącymi po 300 do 400 ludzi, i pedzili ze sobą wiele ludu i bydła. (...) Dnia 15 o świcie ujrano w polu wielkie wojsko, które podpaliło kilka domów w pobliżu miasta. Liczono je tak na

— moskiewskie i kozackie, składające się z 6 tysięcy, a jak inni mówili — z 12 do 15 tysięcy ludzi, mimo że wielkie mroźstwo przeszło koło Lublina do Wisły, aby przeciąć drogę zbiegom, jako że nie żalowali tego przedsięwzięcia, gdyż schwycili wielu ze szlachty i innych ludzi, którzy mieli przy sobie dużo pieniędzy”. Po otwarciu bram i złożeniu wymaganego przysięgi nieprzyjacieli raz jeszcze zażądał stanowczo wydania całego majątku, należącego do Żydów i duchowieństwa oraz okupu w wysokości 300 tys. zł i wielkiej ilości różnego rodzaju towarów. Ponieważ miasto nie było w stanie zgromadzić tak wielkiej sumy pieniędzy, zaczęły się grabieże, zabójstwa i pożary. Najwięcej ucierpiała dzielnica żydowska, znajdująca się poza murami miasta od strony północnej. Nie oszczędzono też klasztorów i kościołów.

„Tymczasem Kozacy cisnęli się do murów i dobijali się do bram, a nam zabroniono strzelać, a nawet odierać ich kamieniami. Niemożliwą rzeczą było dostarczyć im tyle pieniędzy, a nie było żadnego innego środka, który mógłby nas zachować przy życiu, o czym nas jednak zapomniał. Dnia 16 wieczorem wznieśli w bóżnicy żydowskiej, w której znajdowało się niezliczone mnóstwo Żydów, i w ich mieście taki pożar, że przez tę noc i dzień następną, a była to niedziela, paliło się do wieczora. Dla większego bezpieczeństwa podpalił też zamek, a ponieważ ten znajduje się blisko miasta i ponieważ od zamku aż do samego miasta wszystkie drewniane domy wygorzały, przeto (nieprzyjaciel) łatwo mógł podpalić miasto, gdybyśmy nie przepukili załogi moskiewskiej, która wypadła z miasta i rozrywała domy. Nie można było bez litości patrzeć na miasto żydowskie, na to co uczynili tyran. (...) Kogo na przedmieściu wrogowie spotykali żywego przez cały czas aż do ostatniej chwili ich odjazdu, tego albo niezwłocznie zabijali, albo przynajmniej pozabawiali odzieży i następnie za byle co sprzedawali

## SPALENIE LUBLINA

sta, ale po niespodziewanym odwróceniu Chmielnickiego spod Zamościa szybko zapomniano o groźącym niebezpieczeństwie. A tymczasem był to dopiero początek wielkiej pożogi wojennej, która w latach pięćdziesiątych siedemnastego stulecia ogarnęła całą Rzeczpospolitą, stawiając ją niemal na krawędzi przepaści. Powstanie ukraińskie, posiadające pierwotnie akcenty społeczne, zamieniło się niebawem w wojnę o wyzwolenie narodowe. Zawarta w 1654 r. umowa w Perejasławiu zakończyła pomyślnie starania Chmielnickiego o poddanie Ukrainy pod władzę cara Aleksandra i stała się bezpośrednią przyczyną nowej inwazji na Polskę, 15 października 1655 r. wojska kozacko-moskiewskie pod wodzą Piotra Potiomkina i Daniela Wyhowskiego, nie napotykając na opór, wkroczyły do Lublina. Od tej chwili trzy kolejno po sobie następujące okupacje — kozacko-moskiewska, szwedzka i węgierska w ciągu kilkunastu miesięcy zadły miastu rany, które leczyć musiało przez dwieście z górą lat. Ruiny i zgliszcza, dziesiątkowana ludność, głód, epidemie, zdziczenie oby-

czajki i moskiewskie. Jej autorem jest najprawdopodobniej jakiś uczytany kupiec niemiecki, mieszkający wówczas w Lublinie, dobrze zorientowany w miejscowych stosunkach i znający język polski. Swoją opowieść w języku niemieckim przesłał do rodzinnego kraju, a tam ogłoszono ją drukiem w 1656 r. nie podając jednak miejsca wydania. Taka forma przekazywania ciekawych wiadomości była w XVI i XVII w. — z braku czasopism — dość rozpowszechniona w Europie. „Relacja” obejmuje razem z kartą tytułową 8 stron w formacie 18-ki. Na język polski przetłumaczył ją w 1906 r. wspomniany już H. Lopaciński<sup>1</sup>. Z jego przekładu (po wprowadzeniu niewielkich zmian dla uwolnienia języka) korzystam przytaczając niżej fragmenty dokumentu.

Oto pełny tytuł i początek „Relacji”:

„Relacja albo dokładny opis żalowanego i godnego politowania zburzenia, spalenia oraz zdobycia pięknego miasta Lublina, co przez Moskwę i Kozaków w sposób barbarzyński zostało dokonane”.

10.000, z których natychmiast, szczególnie Kozacy, udali się na Krakowskie Przedmieście, najczęściej zaś wpadali do miasta żydowskiego tylko dla grabieży. Zaraz zjawili się obywateli miejscy, zajęli bramy i mury. Ponieważ jednak bronieć się przeciw takiemu wrogowi było rzeczą niemożliwą z powodu lichych murów, wkrótce wypieczono białą chorągiew. Zaraz potem do nieprzyjaciół wysłano jako deputatów ze szlachty pana Franciszka Bodziańskiego, pana Poniatowskiego poborcę, jednego jezuitę i dwóch mieszczan, aby prosili o łaskę. Jezuitę Kozacy niezwłocznie oddarli do kostułu. Posłowie ci zostali przyjęci przez żołnierstwo takim wrzaskiem, że ledwie żywych doprowadzono do generala, u którego zatrzymano ich do późnego wieczora. (...) Wieczorem powrócili nasi posłowie mówiąc, że nieprzyjaciel żąda skarbów, należących do wszystkich osób duchownych i szlachty, a nawet zastawionych. Dalej wymaga, aby złożyli hold i przysięgę wielkiemu księciu. Na to obie strony przedstawili zakładników do rana. Wtedy dowiedziano się (w mieście), że były tam dwa wojska

z palmatek i zacheuszek. Pozostałe płaszczyzny budowli zajęły kompozycje figuralne, ujęte każda z osobną w czerwonej ramie. Na sklepieniu światły, wystąpiły wyobrażenia archaniołów, serafinów i tronów. W części prezbiterialnej rozwinięto cyki pasyjne w ujęciu narracyjnym.

Autorstwo tych fresków, uderzających ekspresją i realizmem, przypisuje się mistrzowi Andrzejowi. Pochodził on z katedry halicko-wołyńskiego i prezentował sztukę będącą już nieco pod wpływami kultury łacińskiej. Nawę pokryły sceny zaczerpnięte z hagiografii i St. Testamentu. Wykonawcami ich byli pomocnicy malarza Andrzeja o niezbyt jasnej orientacji artystycznej. Jedynolity styl ich malowideł wykazuje stagnację i konserwatywizm w zestawieniu z twórczością mistrza Andrzeja.

Polichromię nawy malowano na mokrym tynku, prezbiterium zaś na suchym i wykańczano temperowymi retuszami. Tynk pod freski był specjalnie przygotowany. Celem uzyskania lepszej przyczepności farb do zwykłej zaprawy wapiennej dodano drobno uciętą szezki i sierść zwierzęcą.

Przez okres pięciu stuleci kaplica oparła się zasadniczym zmianom. Dopiero w połowie XIX wieku, z chwilą wzniesienia nowego, neogotyckiego zamku, przeznaczono na wieżenie, i osięgo podzielił również kościół św. Trójcy. Zgodnie z wymogami nowego stylu kaplicę otynkowano i cenne malowidła zostały ukryte pod warstwą polubli. Do odkrycia fresków przyczynił się Józef Smolński w 1899 r., mimo że fakt ich istnienia został już wcześniej zasygnalizowany przez Kazimierza Stronczyńskiego, głównego inwentaryzatora zabytków Królestwa Polskiego. W 1903 r. freski zostały częściowo odmalowane. Następne prace wokół malowideł podjęte przez Carską Komisję Archeologiczną w 1914 r. doprowadziły do odkrycia ich dalszych partii. Ponieważ część ich uległa zniszczeniu, w kilka lat później zorganizowano planową akcję konserwatorską. Objęła ona freski w prezbiterium i prowadzona była pod nadzorem Juliana Makarewicza w latach 1917—1918. Dalszy ciąg prac konserwacyjnych kontynuowano od roku 1921 do 1923 r. pod kierunkiem Edwarda Trojańskiego. Po wyzwoleniu renowację kaplicy wykonała Pracownia Konserwacji Zabytków w Warszawie w latach 1954—1956. Ostatnie zabiegi konserwatorskie wyodrębniły również kościół św. Trójcy z zespołu dziewiętnastowiejnych zabudowań zamkowych, a po zdjęciu zewnętrznych tynków przywróciły mu dawny, gotycki splendor.

### Czas przechowywany w zabytkach

## Najcenniejszy zabytek

IRENA BUCZKOWA

**W** CHRONOLOGII powstawania zabytków architektury w Lublinie jedno z pierwszych miejsc zajmuje kaplica św. Trójcy na Zamku. Smukła bryła małej gotyckiej świątyni, usytuowanej na wschodnim cyplu zamkowego wzgórza, nie zdradza rangi zabytku klasy zerowej. Skarby unikatowej sztuki — malowidła ściennie — ukryte są bowiem we wnętrzu kościoła. Dobrze zachowana, nawiązująca stylem do kanonów sztuki bizantyjskiej polichromia tego kościoła pochodzi z okresu późnego średniowiecza, w którym zaznaczyła się ekspansja wpływów sztuki ruskiej, ze szlachetną supremacją w dziedzinie malarstwa monumentalnego.

Promotorem tych prądów w Polsce był król Władysław Jagiello, wychowany w atmosferze kultury ruskiej. Malowidła kościoła św. Trójcy w Lublinie należą do najwcześniejszych dzieł tego rodzaju sztuki, a przy tym znany jest ich twórca, co było wyjątkowym zjawiskiem w okresie średniowiecza.

Kościół św. Trójcy w Lublinie, nazywany powszechnie kaplicą zamkową, wspomniany był już w 1328 r. W połowie XIV w. stanowiąc część kompleksu dawnego, gotyckiego zamku. Wiadomo, że był on budowlą jednokondygnacyjną, zakończoną wielokątnym prezbiterium, które łączyło się korytarzami z murami obronnymi zamku. W latach

1335—1407 kaplica została nadbudowana przez podwyższenie ścian i przykrycie nowym sklepieniem. Bryła budowli, wówczas dwukondygnacyjnej, formowały dwa gotyckie szczyty, które przetrwały do połowy XVII stulecia. We wnętrzu kościoła mieściła się jedna nawa z centralnie osadzonym filarem podtrzymującym żebrowe sklepienie z fasonowej cegły. Konstrukcja tego sklepienia była charakterystyczna dla architektury za panowania Kazimierza Wielkiego. Dolną kondygnację kaplicy przeznaczono wtedy na kryptę dla zmarłych kapelanów zamkowych, górna dla kultu religijnego.

Po kilkunastu latach użytkowania na polecenie Jagiellów sprowadzono grupę malarzy ruskiej, którzy pod kierunkiem mistrza Andrzeja ozdobili wnętrza kaplicy freskami. Dnia 10 sierpnia 1418 roku polichromia została ukończona i wówczas malarz Andrzej utrwalił datę jej wykonania oraz swoje imię na tablicy erekcyjnej w łuku łączącym kościół. Ściany i sklepienie kaplicy pokryły sceny religijne, wśród których znalazły się dwa portrety Władysława Jagiello. W dolnej partii ścian zastosowano został motyw dekoracyjny rozpiętej kotary, a nad nią biegnący fryz

z palmatek i zacheuszek. Pozostałe płaszczyzny budowli zajęły kompozycje figuralne, ujęte każda z osobną w czerwonej ramie. Na sklepieniu światły, wystąpiły wyobrażenia archaniołów, serafinów i tronów. W części prezbiterialnej rozwinięto cyki pasyjne w ujęciu narracyjnym.

Autorstwo tych fresków, uderzających ekspresją i realizmem, przypisuje się mistrzowi Andrzejowi. Pochodził on z katedry halicko-wołyńskiego i prezentował sztukę będącą już nieco pod wpływami kultury łacińskiej. Nawę pokryły sceny zaczerpnięte z hagiografii i St. Testamentu. Wykonawcami ich byli pomocnicy malarza Andrzeja o niezbyt jasnej orientacji artystycznej. Jedynolity styl ich malowideł wykazuje stagnację i konserwatywizm w zestawieniu z twórczością mistrza Andrzeja.

Polichromię nawy malowano na mokrym tynku, prezbiterium zaś na suchym i wykańczano temperowymi retuszami. Tynk pod freski był specjalnie przygotowany. Celem uzyskania lepszej przyczepności farb do zwykłej zaprawy wapiennej dodano drobno uciętą szezki i sierść zwierzęcą.

Przez okres pięciu stuleci kaplica oparła się zasadniczym zmianom. Dopiero w połowie XIX wieku, z chwilą wzniesienia nowego, neogotyckiego zamku, przeznaczono na wieżenie, i osięgo podzielił również kościół św. Trójcy. Zgodnie z wymogami nowego stylu kaplicę otynkowano i cenne malowidła zostały ukryte pod warstwą polubli. Do odkrycia fresków przyczynił się Józef Smolński w 1899 r., mimo że fakt ich istnienia został już wcześniej zasygnalizowany przez Kazimierza Stronczyńskiego, głównego inwentaryzatora zabytków Królestwa Polskiego. W 1903 r. freski zostały częściowo odmalowane. Następne prace wokół malowideł podjęte przez Carską Komisję Archeologiczną w 1914 r. doprowadziły do odkrycia ich dalszych partii. Ponieważ część ich uległa zniszczeniu, w kilka lat później zorganizowano planową akcję konserwatorską. Objęła ona freski w prezbiterium i prowadzona była pod nadzorem Juliana Makarewicza w latach 1917—1918. Dalszy ciąg prac konserwacyjnych kontynuowano od roku 1921 do 1923 r. pod kierunkiem Edwarda Trojańskiego. Po wyzwoleniu renowację kaplicy wykonała Pracownia Konserwacji Zabytków w Warszawie w latach 1954—1956. Ostatnie zabiegi konserwatorskie wyodrębniły również kościół św. Trójcy z zespołu dziewiętnastowiejnych zabudowań zamkowych, a po zdjęciu zewnętrznych tynków przywróciły mu dawny, gotycki splendor.

**W** ROKU biejącym, tak obfitym w różne ważne rocznice, obchodzimy również 650-lecie Lublina. Wprawdzie archeolodzy i historycy kłócą się jeszcze zażarcie o różne fakty i zdarzenia oraz ich właściwą interpretację — to jednak jubileusz ustanowiono i związane z nim uroczystości i obrzędy już się zaczynają.

Wszelkie prerogatywy i przywileje obszarnika i feudała, jak również podstawy finansowe — dość liczna rodzina rozproszyła się po świecie. Jednak jak ptaki po utracie gniazda krąży długo dokoła, tak i ludzie nie bardzo mogą odejść od miejsc, z którymi się żyli. Wielu z naszych osiadło w samym Lublinie, a wszyscy wspominali. Choć ojca mego los zapędził aż na daleki Wołyń, to przecież w naszym domu żyły zawsze tradycje lubelskie, odwiedzało się liczna rodzinę w dalekim mieście, a gdy doszedłem do odpowiednich lat pomyślano dla mnie o szkole właśnie w Lublinie.

W drugiej połowie ubiegłego wieku, a liczę go jak to powszechnie przyjęto do wybuchu pierwszej wojny światowej — szeroka działalność rozwijał Mieczysław Brzeziński (1858—1912). Był to człowiek wielce wykształcony, oczywiście materialista i racjonalista, bo wyrósł z epoki pozytywizmu i za jedno z głównych zadań życiowych postawił sobie upowszechnienie wiedzy. Był jednym z pierwowożyci w Polsce pionierów popularyzacji nauki. Napisał wiele książek, które już dzisiaj są białymi krukami, a z uwagi na ich treść, przeważnie przestarzałą, zapomniano o nich i o ich autorze. Tak dalece, że choć był silnie powiązany z Lublinem i Lubelszczyzną przez swe rozliczne więzy rodzinne i towarzyskie, przemilczał o nim zupełnie Grychowski w swej książce o ludziach pióra powiązanych z naszym miastem. A szkoda — wart ten człowiek przypomnienia.

Jako bardzo młody chłopiec czytałem jego dzieła. M. in. pamiętam jedno pt. „Z dziedziny przyrody i przemysłu”. Był to grubasny tom, zawierający całe ówczesne kompendium aktualnej wiedzy popu-

larnie wyłożonej, bogato ilustrowany i zaopatrzone w podobiznę autora. Z kart książki spoglądał poważny pan o gęstej rozczupłej brodzie. Taką brodę w owych czasach nosili medcy. Ochorowicz, Matuszewski, Świętochowski — to byli potężni brodacze. A Marks i Engels?

Pan Mieczysław Brzeziński popelniał jeszcze jedno dziełko, a mianowicie książkę dla młodzieży pt. „Moje wakacje na wsi”. Książeczka ta była oczywiście przeświadczeniem specjalną ideologią ówczesnych czasów i swoistym poglądem na demokrację i współzycie ludzi. Pamiętam, że równocześnie wielką popularnością cieszyła się poezja o wydziewku społecznym Marii Konopnickiej, a jej wiersz „W piwnicznej izbie” był na ustach wszystkich. O ile mnie pamięć nie myli, bo cytuję bez tekstu pod ręką, wiersz kończył się taką apostrofą:

W piwnicznej izbie mrok zapadł gęsty, jako ta twarda dola. Któż dziecku temu da trochę słońca, pokaże lasy, pola?

Pan Brzeziński w tej książeczce podjął ten temat w sposób pozytywny. Główną postacią jest chłopiec lat kilkunastu, syn szewca z Warszawy, który żyjąc w bardzo trudnych warunkach, dzięki ciężkiej pracy i wielu wyrzeczeniom swego ojca kształcił się i chodził do gimnazjum. Chłopiec ten nigdy nie był na prawdziwej wsi i życie jego upływa wśród szarych murów miasta i głębokich studzien — podwórek. Ma jednak w klasie dobrego koleżę, syna właściciela majątku ziemskiego i ten go zaprasza, z upoważnienia rodziców, do siebie na wies na całe wakacje.

Zaproszenie zostało przyjęte i dwaj chłopcy wsiadają do pociągu, który ich wiezie do wymarzonego raju, a który znajduje się właśnie w okolicach Lublina.

Tu dodać należy, że szewc posiada też swoją ambicję. Przed samym wyjazdem następuje niespodzianka i obaj chłopcy, ten za-

darzyli, w końcu jednak wyładowałem właśnie w bliskim sercu i rodzinie naszej Lublinie. Skoro otrząsnąłem się z przeżytych wojennych i poczułem nareszcie stały grunt pod nogami nawiązałem sporo kontaktów towarzyskich. I wtedy właśnie w jednym z zaprzyjaźnionych domów poznałem dwie

## DIABELSKI

piękne panie. Każda z nich odmienna nieco w typie, ale obie niepospolite urody.

Były to właśnie córki niezłego już Mieczysława Brzezińskiego.

Obie były zameżne. Jedną z nich, Wanda, poślubił znanego komunistę Wolfa. Budziło to powszechną sensację, bo to przecież rodzina ziemianńska, a choć pan Mieczysław był szczerym demokratą, nie taki prawdziwy komunistą w rodzinie w tamtych latach stanowił niecodzienną atrakcję.

Uroczą i bardzo inteligentną pani Wandę wtedy, gdy ją poznałem, rozszalała się ze swoim mężem i zamierzała w znacznie większym stopniu zgorszyć i poruszyć opinię, gdyż postanowiła poślubić zwykłego chłopca, gospodarza ze wsi podlubelskiej.

Pani Stanisława była żoną znanego malarza Jacka Mierzejewskiego. Kto się interesuje dziełami

praszający i ten zaproszony, otrzymują w prezencie wspaniałe buty, osobliście uszyte przez ofiarodawcę i specjalnie dostosowane do pobytu na wsi.

Całe wakacje to nieprzerwane pasmo przyjemności i rozrywek. Syn szewca czuje się znakomicie w otoczeniu ziemianskim, dzięki odpowiedniej atmosferze. Młodzi zrywają wielu uciech typowo rustykalnych, jak polowanie, jazda konno, łódki itp. — ale również zwiedzają najbliższe okolice, m. in. niedaleki Należów no i miasto gubernialne Lublin. Te kartki były napisane ciekawie, żywo i z dużym znawstwem przedmiotu. I właśnie z tej książki pana Brzezińskiego dowiedziałem się wiele o historii Lublina i zapoznałem się z szeregiem najciekawszych zabytków. Toteż gdy po raz pierwszy przyjechałem do tego miasta (1912 r.) — czułem się od razu jak jak stary bywalec.

No, a potem przyszła wojna, rewolucja, przedziwnie nam się losy



**N**IE tu miejsce na omawianie wszystkich zasługonych Lublinian, także opracowanie powinno się ukazać jako oddzielne wydawnictwo w wyniku żywych

zainteresowań historią miasta w okresie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego oraz obecnych uroczystości jubileuszowych. Warto jednak dla oddania pamięci ludzkiej przypomnieć świętą postać z miastem nazwym swiętym urodzeniem bądź działalnością, a zapamiętanych już przez współczesnych.

Zacznijmy od ważnej grupy społecznej, od lekarzy. Lublin miał również znakomite lekarzy w tej dziedzinie. W XVI wieku lekarzy lubelskich już wano do trudnych przypadków nawet za granicę. W Lublinie osiadł po przejściu w stan spoczynku znakomity lekarz królewski **WOJCIECH OCZKO**, badacz kły i autor pierwszego w świecie pracy naukowej na temat tej choroby. Oczo zmarł w Lublinie w 1588 r. rob. Oczo wiedzą raczej tylko turyści, o czym nie wiedzą mieszkańcy Lublina, gdyż żaden z przewodników nie wspomina poinformować o tym swoich podopiecznych. Nie znany jest jednak dla szerszych kręgów naszego społeczeństwa **MICHAŁ BERGONZON**, Rodowity Włoch, Bolesław, który w 1775 r. był przez 3 lat le Polaki w księcia Józefa Sanguszki. Był z swoim chlebobdawcą w trybunałskim grodzie, który mu się bardzo spodobał, toteż zrezygnował z swego stanowiska osiadł w Lublinie. Obserwując swoje na ten temat zdrowotne warunki i warunki odnośnie jego warunków klimatycznie - topograficznych, w 1780 r. w formie rozprawy, która miała służyć dobru i przydatności tego starego grodu. Rozprawie swojej dał tytuł: „O położeniu miasta Lublina, jego zwykłych i miejscowych chorobach oraz zdrowym i szkodliwym powietrzu”. Wskazywano tym dziełem został w tym samym roku lekarzem przybocznym samemu królowi Stanisławowi Augustowi, nie zerwał jednak więzi z Lublinem. Dopiero bowiem w 1790 r. przeniósł się na stałe do stolicy, gdzie wykładał w szkole chirurgicznej. Został też mianowany naczelnym lekarzem wojska koronnego i jako taki zorganizował wojskową służbę zdrowia i szpitalnictwem wojskowym, ponadto wprowadził do kształcania lekarzy wojskowych. W 1794 r., chyba w związku z upadkiem powstania kościuszkowskiego, porzucił pracę w wojsku. Został później członkiem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Jako naczelnik lekarz wojska Księstwa Warszawskiego szczególnie zasłużył się w czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1809 r. W 1812 r. przeszedł w stan spoczynku i oddał się pracy zawodowej i społecznej, organizując szereg przedsięwzięć oświatowych i społecznych. Bardzo popularny w stolicy, zmarł w niej w 1819 r. w wieku 71 lat. Cenny swój księgozbiór zapisał Warszawskiemu Tow. Przyjaciół Nauk. Wiele zasług lekarza i działacza w Lublinie rozpoczął swoją naukową, publiczną i społeczną działalność.

Od medycyny przejdźmy do drukarstwa. W 1827 r. warszawski drukarz **SZABSA GUTFELD**, od kilku lat już zatrudniony w Lublinie, otrzymał zezwolenie na otwarcie tutaj polskiej drukarni. Drukował w niej bardzo ciekawe książki: powieści, podręczniki szkolne, a nawet i książki religijne. Syn jego, **MENDEL**, urodzony w Lublinie, pracował w tym samym zawodzie. Od 1849 r. prowadził drukarnię w Hrubieszowie. Po praktyce w księgarstwie wystąpił o zezwolenie na otwarcie księgarni w Lublinie (w r. 1852). Nie otworzył jej jednak, potrzebniejszy był w tym czasie w Hrubieszowie. Tu bowiem drukował potajemnie paszporty, ułatwiając tym sposobem młodym ludziom ucieczkę za granicę przed służbą w wojsku rosyjskim. Władze carskie podejrzewały go o działalność spiskową i chciały mu odebrać zezwolenie na prowadzenie drukarni hrubieszowskiej. W aktach archiwalnych dotyczących tej sprawy zachował się wniosek w tej sprawie nowego naczelnika powiatu hrubieszowskiego, motywującego swoje stanowisko tym, że Michał Gutfeld, (Mendel już od 1849 r. używał tego polskiego imienia), nie troszczył się o drukarnię, gdyż jeździł do Lublina, do Warszawy „a nawet i gdzie indziej”. Dokąd mógł jeździć w 1853 r. drukarz, który już wcześniej drukował nielegalnie paszporty dla młodych ludzi w wieku poborowym? Nie ulega wątpliwości, że Michał Gutfeld był poważnie związany z organizatorami powstania, że podróże jego, może i poza kordon, do Galicji, wiązały się z akcją powstaniową, tak szeroko w Lubelskiem rozbudowaną. Po upadku pow-

# Pamiętamy i o nich...

stania styczniowego **Michał Gutfeld** wrócił do Lublina, gdzie w r. 1863 wydzierżawił drukarnię rządową. Nie zerwał jednak z Hrubieszowem, gdyż równocześnie kierował i tamtejszą drukarnią. Nieznane są jego dalsze losy. W sierpniu 1851 r. przeniósł na świat w Lublinie **JAN HERMAN ZUKERTORT**. Możliwe, że Zukertortowie, tak jak rodzina Bandkich, miała jakieś powiązania z Wrocławiem, w którym podówczas żyło jeszcze sporo Polaków, gdyż młody Jan Herman udał się na studia właśnie do Wrocławia. Przed rokiem 1860 w Wrocławiu cieszył się niezwykłą sławą tamtejszy nauczyciel **Adolf Anderssen**. Zasłynął on jako mistrz w grze w szachy i w 1853 r. zdobył mistrzostwo świata w tej grze. Zukertort wykorzystał taką okazję i w rozgrywkach z mistrzem rozwinął swoje zdolności szachowe. Po studiach osiadł w Berlinie i tu wydawał przez 4 lata (1867—1871) „Nowa Berlińska Gazeta Szachowa” (Neue Berliner Schachzeitung). Wtedy też wspólnie z **Jean Dufresne** wydał „Wielki podręcznik szachowy” (Grosses Schachhandbuch). „Przewodnik gry w szachy” (Leitfaden des Schachspiels) oraz „Zbiór wybranych zadań, studiów i pozycji” (Sammlung der auserlesenen Schachaufgaben, Studien und Partiestellungen). Wcześniej zasłynął jako

gracz z pamięci i symultaneista i to tak dalece, że kiedy np. pisano o wielkim szachyście angielskim **James Henry Blackburne** (1840—1924) i chciano podkreślić jego wielki talent, podawano, że jako gracz z pamięci dorównywał Zukertortowi. Zukertort, w r. 1872 przeniósł się do Londynu. W 1878 r. na turniej w Paryżu zdobył mistrzostwo świata. To mu ułatwiło założenie w Londynie w 1879 r. czasopisma szachowego „Chess Monthly”, które sam redagował. Przez kilka lat utrzymał się na pierwszym miejscu w świecie, mimo iż był to okres świetności tej gry królewskiej i bliznęli wówczas wśród szachistów takie nazwiska jak **Paul Morphy**, **Wilhelm Steinitz**, **Louis Paulsen** oraz wspomniany **Blackburne**. Tego ostatniego pokonał Zukertort w wielkim turnieju w 1881 r. Wielkiego Steinitza, urodzonego w 1838 r. w Pradze, pokonał w 1883 r. w Londynie. Zukertort zmarł w 1888 r. w Londynie. Znany i ceniony przez szachistów w świecie, został zapomniany w Polsce, a szczególnie w Lublinie, gdzie urodził się przed 125 laty.

## STEFAN WOJCIECHOŃSKI

ukończył w Wolfenbüttel opodal Brunswiku, obecnie w NRF, zaś wyższe studia ekonomiczne w Dorpacie. Około roku 1888 osiadł w Moskwie poświęcając się studiom artystycznym, szczególnie zaś badaniom grafiki. Zainteresowany systemem artystycznym ówczesnej Europy, pisywał na te tematy do pism angielskich, czeskich, francuskich, niemieckich, polskich i rosyjskich. Od początku XX wieku stał się łącznikiem między światem kulturalnym Polski i Rosji, informując obydwie strony o wzajemnych osiągnięciach na polu sztuki, literatury, bibliografii, księgarstwa i szeroko pojętego bibliofilstwa. Przez cały ten czas zdobywał coraz to nowe rarytasy bibliofilskie, stare druki i rękopisy, grafiki i obrazy. Miał kilkunastotomowy księgozbiór z dziedzin plastyki, w tym liczne okazy dotyczące sztuki i literatury. Wspaniałe swe zbiory udostępniał codziennie licznie go odwiedzającym artystom, literatom, krytykom, zbieraczom. Zebrzał też kilka tysięcy ekslibrisów, pięknych okazów małej grafiki. Sam posiadał kilka własnych ekslibrisów wykonanych przez doskonałych grafików. Swojej działalności nie przerwał ani w czasie Wielkiej Rewolucji Październikowej, ani też po niej. Zawsze pamiętał o swoim rodzin-

nym mieście. Kiedy po traktacie Fryzjskim wrócił w Moskwie komisja dla rewindykacji polskiego mienia kulturalnego, kontaktował się z nią często, a ślady tego można znaleźć m. in. w bardzo ciekawym wydawnictwie bibliofilskim pt. „Polski ekslibris w Moskwie w roku 1927”. Książka ta, wydana w Krakowie w 1929 r. w trzech i w 1946 w dwustu egzemplarzach, zawiera ekslibrisy członków wspomnianej komisji wykonane dla nich przez grafików rosyjskich w czasie ich pobytu w Moskwie. Znajduje się tam również ekslibris Ettingera rytowany wówczas w Moskwie przez **Edgara Norwerta** z napisem „Książka Pawła Ettingera” i widokiem lubelskiej Bramy Krakowskiej oraz herb Lublina, obok którego widnieje napis „Civitas Lublin”. Czyż trzeba silniejszego dowodu na lubelski patriotyzm **Pawła Ettingera**? W czasie drugiej wojny światowej Ettinger udostępnił swoje zbiory bibliofilskie w Moskwie redakcom, członkom Związku Patriotów Polskich, służył im radą i pomocą. Myślał o przekazaniu swoich zbiorów rodzinemu miastu. Niestety, śmierć zaskoczyła go nagle 15 września 1941 r. w metro moskiewskie, gdy jechał do Kogos z jakimś białym krukiem ze swoich zbiorów. Poświęcono mu po śmierci szereg artykułów w prasie radzieckiej i polskiej wychodzącej w Związku Radzieckim. Warte jest trwałej pamięci człowiek, który podtrzymywał kontakty kulturalne między Polakami i Rosjanami w tych czasach, w których polityczne stosunki między obu państwami nie najlepiej się układały, który umiał nabywać najtrwalsze dyplomaty nie tracąc nadziei na uregulowanie tych stosunków. Docekał się tego, ale dopiero pod koniec życia.



Reprodukowany obraz Jana Matejki „Przyjęcie Żydów do Polski” odkryty został niedawno w Lublinie. Dość dobrze zachowane płótno, o wymiarach 140x128 cm, rozpoczął artysta 3 maja 1892 r. a ukończył w sierpniu tego roku. W Muzeum Lubelskim nie posiada na własność żadnego obrazu Matejki, więc okazja wzbogacenia zbiorów o wartościowe dzieło. Fot. J. Trembecki

naszej plastyki w latach bezpośrednio po pierwszej wojnie, musiał się spotkać z nazwiskiem tego utalentowanego malarza, rysownika i grafika, związanego z formizmem. Niestety, był bardzo chory na gruźlicę z dużymi powikłaniami i wtedy już naznaczony stygmatem śmierci.

Pani Stanisława musiała co pewien czas pozostawić chorego męża i przyjechać do Lublina, gwoi poczynienia koniecznych zakupów i załatwienia rozlicznych interesów. Wtedy też znajdowała chwilę czasu, by odwiedzić kogoś z rodziny i znajomych, no i trochę się oderwać od ponurego życia w charakterze

podobnego nigdy w życiu nie widziałem. Zrobiony z zwykłego metalu — prawdopodobnie aluminium lub coś w tym rodzaju — przedstawiał niesłychanie wyraziście twarz diabła — Bafometa. Cała ta twarz z wystającymi jak słupki oczyma, krzaczastymi brwiami, zmierzwiłymi kępkami włosów nad czołem na kształt stępionych rogów, wysuniętym językiem i koźlą bródką — odwróconą i odciętą na wosku lub też odpowiednim tworzywie, wyrażała odwrócony trójką i niewyraźne ślady jakichś liter.

Rozstałem się z nim też w sposób niecodzienny. Matka moja, z którą podówczas mieszkalem, odnosiła się do samego początku z wielką nieufnością do tego przedmiotu. Uważała, że moje życie atenusza i rozniwiera toczy się tak pod wpływem fatalnego pierścionka, i że noszenie stale obciążonej podobizny diabła może mnie zaprowadzić na najgorsze drogi. Zaczęto kochane matczyńskie zdobyło się wreszcie na odwagę i gdy ja po powrocie z jakiejś tegiej hulanki spałem twarzą snem, zdjęła mi z palca pierścionek i w jakiś sposób unicestwiła. Zdaje się, że przy pomocy ognia, co nawet by pasowało do obiektów o charakterze infernalnym.

lał, wszelkimi środkami lokomocji zdążył do Lublina. Oczywiście w tej wędrówce ludów co chwila spotykałem przyjaciół i znajomych; radość była wtedy nieopisana, łała się obficie woda życia, bardzo często pomieszana ze łzami, gdyż wielu, wielu miało już nigdy nie powrócić.

# SYGNET

## KONRAD BIELSKI

Mieszkał podówczas oboje we wsi Piotrowicach (zdaje mi się, że tej, która stanowiła niegdyś własność Kajetana Kozmiana, a później związana była z rodziną Brzezińskich). W dużej przestronnej izbie drewnianej wjejskiej chałupy, otoczonej pięknym sadem, w balsamicznym powietrzu dogorywał przykuty do łóżka świetny malarz. A obok niego piękna jak bóstwo żona i dwoje małych dzieci.

Odwiedzaliśmy ich, wraz z moim przyjacielem, niejednokrotnie w tych Piotrowicach, ale zawsze te spotkania pozostawiały mabzryczne wrażenia. Mierzejewski, unieruchomiony w pościeli, kazał sobie dostarczać niezbędne przybory i na kartonach rysował przeróżne kompozycje. Ciekawe, że głównym tematem były sceny wesole i nader frywolne. Większość tych prac poginęła. Ja sam byłem w posiadaniu jednego takiego rysunku. O treści omal pornograficznej i oczywiście on też przepadł, jak wiele, wiele innych rzeczy.

terze wiecznej pielęgnarki w Piotrowicach.

Był jeden dom w Lublinie, gdzie od czasu do czasu gromadzili się ludzie ciekawi i gdzie mówiono o teatrze, malarstwie i o poezji. Tam właśnie kilkakrotnie spotkałem się z panią Stachą i widocznie wzbudziłem w niej jakies zainteresowanie moją osobą, gdyż pewnego wieczoru po jakiejś wyjątkowo recytacji poetyckiej, już nie pamiętam jakiego wiersza, może to był właśnie głośny wtedy mój „Dytyramb szatański” — zdjęła ze swej ręki pierścionek i podarowała go mnie. Byłem bardzo podniecony i wzruszony tą specjalną oznaką uznania i to jeszcze z tak pięknych rąk i przy ogólnym aplauzie dość licznej grona, toteż przyjrzałem się otrzymanemu prezentowi dopiero po powrocie do domu.

Pierścionek nie przedstawiał żadnej wartości jako klejnot z punktu widzenia oceny jubilerskiej, ale był to przedmiot niesłychanie oryginalny i niewątpliwie unikalny w swym rodzaju. Ja przynajmniej

Jak mnie później ktoś bardziej kompetentny objaśnił miały to być litery S.I.M.O.N. — który to kryptonim oznaczał: sempiternum, ignotum, magnum, omnipotent, nomen. Był to więc przedmiot jakiegoś kultu o właściwościach magicznych.

Skąd i w jakich warunkach otrzymała moja ofiarodawczyni ten przedmiot nie wiem i nigdy jej o to nie zapytałem, ani też nie wiem, co miała na myśli, obdarzając mnie wtedy tym niesamowitym prezentem.

W niedługim czasie Mierzejewscy wyjechali do Otwocka celem poczynienia ostatniej próby ratowania jego zdrowia. Wszelkie wysiłki okazały się bezskuteczne. W 1923 r. Jacek Mierzejewski zmarł. Został po sobie sporo cennych obrazów. Ciekawym czy ocalał jeden z nich — „Portret żony”. Chciałbym go jeszcze zobaczyć.

Z panią Stanisławą nie widziałem się już nigdy w życiu. Pozostał mi jednak pierścionek. Nośnię go przez kilka lat, jako rzecz na wskroś oryginalną. Budził wszędzie ogólnie zainteresowanie. Czy mi przyniósł szczęście? Nie wiem. Ra-

zobudziłem myślałem, że go zgubiłem i byłem wiele zmartwiony. Później, później dowiedziałem się prawdy. Nie żałowałem zbytnio talizmanu, który okazał się być równie tajemniczy jak mało skuteczny — raczej brakowało mi czegoś co przypominało pewien okres mego życia i związane z nim niektóre osoby.

Oczywiście później upłynęło wiele lat. Wybuchła druga wojna światowa. Nastąpiły koszarne czasy okupacji. Wszystko to dziwnym i szczęśliwym zbiegiem okoliczności przeżyłem w moim Lublinie. Docekałem więc wyzwolenia i na własne oczy oglądałem tworzącą się nową polską rzeczywistość i kształtowanie innych form życia w tym Lublinie, który awansował do rangi stolicy. Wielki wtedy był zjazd ludzi z całej Polski, kto przeżył, oca-

Otóż pewnego wieczoru w takiej improwizowanej ad hoc kawiarni, która się nawet nazywała „U plastyków” — przedstawiono mi dwóch młodych malarzy. Byli to bracia Mierzejewscy, synowie Jacka i Stanisławy. Rozrzewniłem się niebawem, zaraz uderzyłem w ton wspomnień i rozgadałem się ogromnie. Młodzi ludzie słuchali z szacunkiem i uwagą, bo przecież rzecz szła o ich rodziców, ale widać było, że to już dla nich dzieje pokryte grubą patyną czasu. Wypiliśmy wspólnie jakiś bimber, czy też gorzelnikę — trunki podówczas najwykwintniejsze — i pożegnaliśmy się na zawsze.

Tak się zamknęło koło.

Opowiedziałem dopiero jedną historię i limit wyznaczony przez redaktora „Kamenu” już się wyczerpał. A tyle jeszcze mam do napisania. Kim była i jak się nazywała cudna panna Kazia, w której się kochał Andrzej Strug i o czym pisał książkę „Dzieje jednego pocisku”? Jakie fraszki i epigramaty improwizował dr Doliński, które nigdzie nie są zapisane, a żyją w tradycji naszej rodziny i pokutują w mojej pamięci? Jakie facecje wyczyniał mój wuj Maciej Czerwiński i z jakich dziawał zasłynął mecenas Piasecki i — dużo jeszcze innych opowieści. Ale to już kiedy indziej. Przy okazji innej rocznicy, może nawet nie tak uroczystej.



Droga Kazimierz-Pulawy Fot. A. Polakowski

## Alarm dla Kazimierza!

Kazimierz to nie tylko najcenniejszy — obok polichromii w kaplicy zamkowej Lublina oraz kompleksu Zamościa — zabytek Lubelszczyzny, ale od wielu dziesięcioleci jakby dzielnicą samego Lublina, do której ciągnęli i ciągną literaci, plastycy, muzycy, dziennikarze, architekci, działacze kultury. Tam rodziły się pomysły, tam realizowały się dzieła, które przyniosły sławę Lublinowi i całemu województwu. Tam spotykali się i spotykają twórcy lubelscy z twórcami z innych dzielnic kraju, tam toczą z sobą dyskusje, plotkują, regenerują siły do dalszej pracy.

W roku ub. Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium WRN ogłosił ogólnopolski konkurs na plan zagospodarowania centrum Kazimierza. Konkurs rozstrzygnięto pod koniec roku. Bezpośrednio po konkursie Zakłady Azotowe w Pulawach po długich staraniach uzyskały lokalizację na budowę domu wypoczynkowego dla swoich pracowników. Oba te fakty wywołały wiele dyskusji i sporów zarówno wśród architektów jak i wszystkich miłośników Kazimierza. Szczególne sprzeciwy budzi lokalizacja domu dla Azotów.

Redakcja „Kamena”, która zawsze broniła pięknego Kazimierza, zaprosiła kilku architektów lubelskich na dyskusję w sprawie owego konkursu oraz lokalizacji domu wypoczynkowego Azotów. W dyskusji wzięli udział inżynierowie architektki: Janusz Gałala (J. G.), Zofia Hamań (Z. H.), Zbigniew Kramarz (Z. K.), Marian Makarski (M. M.) i Jan Żochowski (J. Z.) oraz red. red. Jerzy Dostatni (J. D.) i Romuald Wiśniewski (R. W.).

# WYPOCZYNEK CZY TURYSTYKA?

J. G. — Przypomnijmy na wstępie, że Kazimierz przed wojną miał 5 tysięcy mieszkańców, obecnie 3,5 tysiąca. Substancja mieszkaniowa nieco wzrosła, więc zagęszczenie w mieszkaniach spadło. Nie możemy jednak mówić o tym, że miasto będzie ciągle rosło, granicę określamy na 4-5 tysięcy mieszkańców stałych, zatrudnionych głównie w obsłudze turystyki. Tu jesteśmy zgodni z większością prac konkursowych i to moim zdaniem jedyny pocieszający wynik konkursu. Widzimy w okresach szczytowych 6-10 tysięcy turystów, teraz bywa już do 8 tysięcy jednorazowo. Ale Kazimierz jest już wyczerpany. Czy należy go rozbudowywać? Nie — taka jest tendencja w Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej, zagwarantowana odpowiednimi uchwałami. Myślę, że powinniśmy się nastawiać raczej na turystykę a nie wypoczynek. Są szanse na wykorzystanie Kazimierza zimą, mamy już skromny wyciąg narciarski, a możemy i powinniśmy mieć nie gorzy tor saneczkowy czy bobslejowy niż Krynica. Azoty wchodzi na stok przy drugim cmentarzu. Ja widziałem to jako miejsce utwardzone z marmuru, pawilonową architekturą, dostępne dla wszystkich, skąd można by oglądać i Kazimierz i Janowiec. A tak robi się orle gniazdo, z którego wszystko można oglądać, z którego przeskada się innym, ale które dla tych innych jest niedostępne. O architekturze tego obiektu nie jeszcze nie można powiedzieć, bo brak projektu.

Z. H. — Właśnie powinniśmy mówić w środowisku architektonicznym...

J. Z. — Dzięki różnym interwencjom Azoty uzyskały lokalizację, która moim zdaniem jest niezgodna z uchwałą Rady Ministrów nr 61 z 1963 r. i wytycznymi GKKFiT. Komisja, w której brałem udział, wyraziła wreszcie opinie, że widzi możliwość lokalizacji poza budynkiem PTTK (ostatnie wzgórze przed kamieniołomami). Owe plateau byłoby więc dostępne dla wszystkich. Jeżeli obiekt Azotów ma być dostępny dla wszystkich, trzeba restaurację zwiększyć co najmniej dwukrotnie do ok. 250 miejsc. A w ogóle uważam, że całość należy powiększyć o jeden ogólnie dostępny pawilon, co w tej chwili można jeszcze zrobić bez kłopotu. Całość koniecznie trzeba uzgodnić z konserwatorem przyrody. Podkreślam, że przesunięcie Azotów o 300-400 m w stronę kamieniołomów spowoduje, że z rąku miasta nie już nie będzie widać w przeciwieństwie do obecnej sytuacji, która tak drażni miłośników Kazimierza.

M. M. — Tragedia polega na tym, że po konkursie SARP właściwie nic nie wiemy.

Życie zaprzecza temu, co zdają się sugerować nagrodzone prace. Jak możemy dojść do jednej koncepcji, jeżeli każdy sobie rzepkę skrobie?

J. Z. — Na 17 prac konkursowych 11 wypowiedziało się za zabudową typu wypoczynkowego w konkretnych miejscach, pierwsza nagroda dopuściła nawet motel za budynkiem RSW Prasa. Ale sąd konkursowy nie ustosunkował się do tych 11 prac. Były różne możliwości ustalenia programu budowy, nie wskazano jednak ostatecznie, gdzie to ma nastąpić.

Z. K. — Przewodniczący jury, inż. arch. Skibniewski, powiedział, że 4 prace prawidłowo odpowiedziały na te zagadnienia, ale ja ośmielę się mam zastrzeżenia.

J. G. — W naszej pracowni przeprowadzono analizę prac nie tylko nagrodzonych. Rodzi się nowy projekt, w którym maczamy ręce. Ogranicza on liczbę miejsc wypoczynkowych, pozostawiając duże rezerwy — co chyba lepiej dla planu. Nastawiamy się na obiekty ogólnodostępne, chociaż np. projektowany hotel pod szyldem Orbisu, a finansowany przez GKKFiT to ze względu na ceny obiekt raczej ekskluzywny.

Z. K. — A więc kierunek wskazany przez nagrodzone prace?

J. G. — Tak. Ten hotel szacuje się na ok. 350 miejsc, chociaż inwestor jest powściągliwy i chce budować etapami.

Z. H. — Chyba najpierw odbudować i uporządkować całe miasteczko, a potem stawić w nim luksusy.

M. M. — Moim zdaniem otwarte lokale są nonsensem w takich warunkach. Nasza praktyka wykazuje, że w miejscowościach tego typu wszystkie obiekty w rezultacie robią się zamknięte.

J. Z. — A kto mnie wyrzuci, gdy zapłacę?

M. M. — Drogowcy, którzy też zabiegają o lokalizację, twierdzą dzisiaj, że 30 proc. miejsc przeznaczają dla obcych turystów. A tymczasem ja sam, gdy chcę dostać miejsce w budynku SARP, muszę pisać podanie znacznie wcześniej i długo nie wiem czy je otrzymam. Z naszego obiektu też zrobiło się miejsce wypoczynkowe a nie turystyczne.

J. D. — Z naszego domu prasowego w sezonie tak samo.

J. G. — Nie chcemy robić z Kazimierza Krynicy, raczej Zakopane.

J. Z. — Ja widzę w Kazimierzu ludzi nocujących, ale przede wszystkim tych, którzy oglądają miasto i krajobraz, lecz wieczorem wyjeżdżają. A tymczasem im więcej miejsc, tym więcej ludzi zostaje na coraz dłuższe okresy.

Z. H. — Dlaczego hotel, przewidziany w nagrodzonej pracy, został przesunięty na Albrechtówkę?

J. G. — To nie ten. Kamieniołomy chcemy możliwie szybko zamknąć. Jest tam piękna plaża, obok powinna powstać duża baza żywienia.

J. Z. — Zasadniczym warunkiem dla prac konkursowych i chyba dla praktyki jest pozostawienie przyrody, uszanowanie krajobrazu, który jest najcenniejszą rzeczą w Kazimierzu. Istota tego krajobrazu to wąwozy i wzgórza. Jeżeli tu pójdzie budownictwo, to przecież także tu muszą pójść kanały sanitarne, wodociągowe, gazowe, parkingi. Pokrajemy wszystko wzdłuż i wszerz. Nie możemy słuchać twojego entuzjazmu.

J. G. — Ja nie entuzjazmuje się, ja relacjonuję.

Z. H. — Nie powstrzymano takiej zabudowy w Zakopanem i dziś mamy już fatalne rezultaty.

Z. K. — Chyba wszystko sprowadza się do tego, czy w mieście jest miejsce na powstanie nowej kwatery. Jeżeli są miejsca na lokalizację, nie naruszając architektury i krajobrazu, wszystko mi jedno, czy powstanie hotel czy nawet fabryka odzieżowa. Jeżeli tych dwóch czynników nie da się urytować, nie mogę nawet dalej rozmawiać.

J. G. — Azoty już weszły, weszli drogowcy, już kreśli się ktoś następny. Kiedy się skończy, nikt nie wie.

M. M. — Architekt nie może stać z napisem „nie wolno”, ale musi ten ruch regulować.

J. G. — Widzimy w mieście tańszą bazę hotelową — jest już zgłoszenie na hotel turystyczny i schronisko szkolne. Propozycja pierwszej nagrody, aby lokalizować obiekty wzdłuż wałów, nie jest do przyjęcia. To pradolina Wisły, wszystko wymagałoby pali, koszty ogromne. Właściciel wolnych miejsc w samym Kazimierzu prawie nie ma, a przecież musi powstać duża baza żywienia z dużym parkingiem. Jeżeli nie przygotujemy się na czas, znów przegramy. Ale są możliwości lokowania pensjonatów wzdłuż Grodzka i ul. Krakowskiej. Normatywy przewidują dla takich pensjonatów po 240 m kwadr., ale powinny być większe.

M. M. — Jestem zdenerwowany i nie nie rozumiem. Jest na Lubelszczyźnie 90 architektów i nie możemy opracować jednego miasteczka, wprawdzie wyjątkowego. Kiedy wreszcie będzie jasna koncepcja architektoniczna i urbanistyczna, kiedy skończą się naciski i zabieg od tyłu? Inwestorzy stale nas wypierdają.

J. Z. — Prace nagrodzone nie rozwiązały tego, co nazywamy funkcją miasta, skazywały je na harmider. Od dawna były i są różne koncepcje, ale najgorsze to, że żadnej koncepcji nie jest nie realizują.

Z. H. — Ale jest i inna sprawa. Bogaci inwestorzy przychodzą do Kazimierza dając coś pieniędzy na budowę wodociągów i kanalizacji. Jeżeli pójda na Albrechtówkę, miastu nie dadzą.

J. G. — Na ten cel jest zaklepane 29 milionów.

J. D. — (mruczy pod nosem) — Kłócy to już raz słyszę?

J. G. — Duże rezerwy na budownictwo widzimy na tzw. miejskich polach — to duża płaszczyna za Domem Prasy, dojazd od tyłu Czarniawami.

J. Z. — Gorzej niż w najgorszych wyobrażeniach. Każdy chce być w Kazimierzu na górze. Taką zabudowę spowodujemy stawianie w wawozach balustrad, chodników, schodów, potem jezdní. W ten sposób zaduszimy Kazimierz. Czy nie lepiej rozbudowywać Bochońnicę?

M. M. — Mniejszym ziemi będzie powstanie wieżowca na rynku niż podobne zniszczenie krajobrazu.

J. G. — Przygotowując konkurs chcieliśmy uzyskać odpowiedź, co zrobić z Grodzkiem, z dolną Wisłą od spichrz. Rola WPT skończyła się.

J. Z. — Ale warunki konkursu były tak elastyczne, że można było w nich zmieścić niemal wszystko.

J. G. — Nie tak. Warunki nie zostały dotrzymane przez inwestora — Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium WRN. I dlatego konkurs nie dał odpowiedzi.

Z. H. — Założono w pierwszej nagrodzie, że Kazimierz będzie odbudowywał się dzięki prywatnym inwestorom. Kazimierz potrzebuje inwestorów, ale prywatnych milionerów nie ma. Może więc system spółdzielczy?

M. M. — Z inwestorami państwowymi też bywa różnie. Azoty mają pieniądze, gospodarka komunalna nie. Może postawić sprawę tak: budujesz, to od każdego miliona daj 200 tys. zł dla miasta, a jak nie, to nie dostaniesz lokalizacji i koniec gadki.

R. W. — Jaki powinien być kształt nowego Kazimierza — to chyba zasadnicze pytanie. Kto i kiedy znajdzie odpowiedź? Chyba trzeba pomyśleć o nowym centrum. Jeżeli mówimy o przystaniach żeglarskiej i kajakowej muszą przecież powstać warsztaty naprawcze, potem basen z podgrzewaną wodą, sala widowiskowa itd. Drużba też rodziła się z trudem daleko od Warszawy, dziś tyle własnym życiem, podobnie jak Złote Piaski. Bułgarzy potrafili a my nie? I chyba czas zakazać wjazdu setkom samochodów i autokarów?

J. G. — Plany przewidują powstanie nowego osiedla 3 km za Albrechtówką dla 3-4 tysięcy mieszkańców, ale budowa rozpocznie się dopiero wtedy, gdy skończy się chłonność starego Kazimierza. A zakaz powinien być szybko wydany.

(Tu dyskusja wkracza w rozważanie różnych szczegółów, niewątpliwie ważnych, ale w tej chwili interesujących głównie architektów i urbanistów, pomijamy więc w relacji te fragmenty)

J. D. — Był jeden inż. Siciński i dawał sobie radę ze wszystkimi, a dziś? Dlaczego Azoty nie mogą zacząć tego nowego osiedla?

M. M. — Sam załatwiałem drogowców. Im było raczej wszystko jedno gdzie, ale taniej koło Azotów. Gdyby Azoty były w innym miejscu, inni też poszliby za nimi.

Z. K. — Plan konkursu nie dał mi osobistej satysfakcji. Daliśmy kilku pracom nagrody, a w rezultacie trzeba opierać się na wszystkich i opracowywać coś nowego. Ale przynajmniej w tej dyskusji dochodzimy do wspólnego wniosku, że Kazimierz musi nadal pozostać Kazimierzem, że z budową nie wolno pchać się na góry, że trzeba szanować przyrodę, a jednak w wypadku Azotów zwyciężył kompromis.

J. G. — I że powinno być mało wypoczynku zamkniętego, jak SARP czy Prasa, a dużo miejsca dla każdego, z gastronomią czynną od rana do nocy.

Z. H. — Czy w tej pawilonowej masowości nie zagubimy uroku miasta? Mnie się marzą piękne hoteliki, każdy inny, uroczę kawiarńki, zacisza... Czy Kazimierz ma być maglem czynnym całą dobę, poruszonym nie tyle elektrycznością, co alkoholem?

M. M. — A co z tym architektem, opiekunem Kazimierza? W tej chwili nie ma nikogo nawet na pół etatu.

J. Z. — Chętni z Warszawy są, ale nie chodzi o to, aby przyjechać raz czy dwa na miesiąc. Trzeba znaleźć drugiego Sicińskiego, taki człowiek musi wrosnąć w miasto, pilnować i wielkich inwestycji i plotów. A przede wszystkim niepowtarzalnego uroku Kazimierza, który stanowi o jego sile atrakcyjnej, który daje nam wspaniałe relaks w dzisiejszych tak zwalonych czasach.

Kilka głosów: — No, nie zawsze są zwalowane...

## Chełmska gadzinówka

Przyczynek do lat okupacji

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

MOŻNA przypuścić, że wieloletnia tradycja — trwająca przez cały okres międzywojennego dwudziestolecia — miała wpływ na decyzję hitlerowskiego okupanta wykorzystania jej dla swoich celów. Z datą 22 października 1939 r. ukazał się w Chełmie Lubelskim organ powołany przed kilku dniami Ortskommandantur Chełm pod nazwą

dwujęzyczną „Chełmer Nachrichten — Wiadomości Chełmskie”. W pierwszym numerze obiecywano, po pokonaniu przejściowych trudności związanych ze stanem wojny i trudnościami z dostawą papieru, podjęcie starań o regularne wydawanie i poprawianie poziomu wydawnictwa. Postawiono za zadanie dla gazety „prócz podawania wiadomości i rozporządzeń urzędowych, informowanie ludności o zdarzeniach politycznych z całego świata”. Drukowano „Chełmer Nachrichten” w miejscowej drukarni „Zwierciadło”, w której niedawno

jeszcze wychodził pod redakcją Kazimierza Czernickiego miejscowy tygodnik „Kronika Nadbużańska”.

Tekst niemiecki był składany przez żołnierzy Wehrmachtu skierowanych do tej pracy, tekst polski — prawie wyłącznie tłumaczony z niemieckiego — przez drukarzy zatrudnionych w „Zwierciadło”. Do końca grudnia ukazało się dziewięć numerów wydawnictwa i jeden dodatek nadzwyczajny. Cena 20 groszy lub 10 fenigów. O wysokości nakładu brak wiadomości. Strony pierwszych czterech numerów miały format 30x45 cm, dalsze nu-

mery były nieco mniejsze. Z powodu trudności z papierem kilka numerów wydano w różnych kolorach. Objętość od czterech do dwunastu stron. Czasopiśmie opiekowało się kolejno kilku „redaktorów” wyznaczanych zapewne przez Ortskommandantur. W ostatnim numerze, datowanym 24 grudnia 1939 r., w rubryce „Z miasta” ukazała się notatka o przewartowaniu wydawnictwa gazety na zarządzenie Okupacyjnego Urzędu Oświecenia Publicznego i Propagandy, jak się wydaje za sprawą miejscowej placówki gestapo, która od niedawna rozpoczęła w Chełmie urzędowanie.

Dotychczas brak jest źródłowego opracowania tego aspektu okupacji hitlerowskiej w Polsce, niemniej jednak nie ma wiadomości, aby w innych miastach powiatowych były podobne próby. Jako organ urzędowy pismo powtarzało zarządzenia i podawało nieco wiadomości z życia miasta. Najważniejsze były jednak bieżące wiadomości z teatru wojny według oficjalnej wersji Oberkommando der Wehr-

maht a także naiwne usiłowania dawkowania hitlerowskiej ideologii i oceny najnowszej historii („Czy ty to wiesz?”, „Kto winien?”, „Niemiłość do polskich dezertersów”, „Odpowiedź Churchillowi”). Usiłowane także „spopularyzować” i uzasadnić w myśli nazistowskiej wykładni stosunek do ludności żydowskiej („My i Żydzi”). Oprócz sprawozdań z wizyty na Lubelszczyźnie i w Chełmie hitlerowskich dostojników (Seys-Inquart, Frank) były próby „wyjaśnienia” zarządzeń i posunięć administracyjnych i gospodarczych („Dziękuję konfiskuje się radia”). „Celowość ogłoszenia cen maksymalnych”, ogłoszone także (nr 3 z 8 listopada) liście zakładników zatrzymanych „za usiłowanie napaści na żołnierza niemieckiego”.

W sumie jest to ciekawy przyczynek do dzieł pierwszych miesięcy okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie.

\* A. Piwowarczyk „Prasa nad Unęską”, „Kamena” 1961 nr 13/14.





NIE tak dawno, bo w pierwszej połowie maja, zdarzyło mi się być „dziennikarzem akredytowanym” przy Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich, co brzmi dumnie, a było w istocie pasjonującym lataniem od wrocławskiego Teatru Polskiego do Rozmałości, od Rozmałości do Kameralnego, od Kameralnego do Kalamburu — i vice versa. W sumie jakiegoś dwadzieścia spektakli plus kontakty z tzw. Pałacikiem,

Teatr Leniwego Widza z Opola, który w zeszłym roku udziwnił do kwadratu „Zamek” Kafki, a obecnie zaprezentował „Dzban” Rabin-dranahta Tagore ogalając utwór wielkiego pisarza z poezji i subtelnej myśli filozoficznej za pomocą ekstrawaganckich chwytów (namolne zawodzenie, manieryczne ruchy). Jest to bezspornie wpływ bezkrytycznego zapamiętania się w metodę Laboratorium Grotowskiego, która podejmowana nieudolnie daje jak najbardziej oplakane rezultaty.

udane było „Opowiadanie o ZOO” Edwarda Albee w interpretacji Zbigniewa Gieniewskiego (Jerry) i Aleksandra Jochweda (Piotr). Już sam zestaw sztuk stanowił o spektaklu zaangażowanym, pozwalającym odczytać myśl, że człowiek musi mieć możliwość nawiązania kontaktu z kimś lub przynajmniej z czymś.

Również zaangażowane dwa spektakle zaprezentował znany Teatr „Stu” z Krakowa, który dał się poznać Lublinowi w zeszłym roku z najlepszej strony dzięki kłótni mierze prekursorską. Właściwie, gdybyśmy mieli tu miejsce na omówienie tego utworu młodocianego autora, warto byłoby omówić rzecz w świetle analiz dzieł Witkiewicza, tylko że straciłaby ona dużo w zestawieniu z fakturą i treścią sztuk Witkiewicza. Tym bardziej podziwu jest godny kunszt reżyserski z jakim opracował „Elżbietę Bam” Andrzej Rozhin. Spektakl ten jest ucztą teatralną dla smakoszy. Pełno tu ruchu, gwaru, świeżych pomysłów scenicznych, humoru, dowcipu, dekoracje i kostiumy Elżbiety i Leona Barafnackich kapitalne. I niech mnie nikt nie próbuje przyłapać na niekonsekwencji. Tak, w zasadzie jestem za teatrem zaangażowanym, jednakże gdzieś jest eksperyment bardziej dopuszczalny, jak nie w teatrze studenckim, którego nie krepują plany finansowe ani plan usługowy, mający na względzie ogół społeczeństwa. Postępowy teatr eksperymentem stoi, stara to prawda. Byłe nie ulegały epidemiom i nie zatracają dla mody własnego oblicza. A to „Gongoli 2” nie grozi.

**W 60-lecie Biblioteki im. H. Łopacińskiego**

# Czas i litera

ZOFIA DUBLEWICZ

„Po starą księgę sięgam ze wzruszeniem  
Zda mi się, że to nakryty  
kameniem  
Opów proch. Czas ją poczeruił  
i kruszy,  
Lecz pełna w sobie nieśmiertelnej  
duszy”.

Wiktor Gomułki „Ex Libris”

**T**YLE jest postaw wobec książki i ludzi. Biblioteka jest jednym z najważniejszych czynników kulturotwórczych, czego nigdy nikt śmiały nie kwestionował. Kto chce zniszczyć kulturę narodu, niszczy księgozbiory. Kto chce kulturę rozwijać, pomnaża je.

Jednym z najczęściej powtarzających się motywów w określeniu stosunku do książki jest oneśmielenie wynikające z respektu dla dorobku ludzkiego — myśli i talentu, zaklętych w literę. Motyw ten wziął początek od nieśmiertelnej sentencji Sokratesa „wiem, że nie wiem”. Odbił się po wiekach w poezji J. W. Goethego w strofach „Fausta”.

„W żądry wiedzy poznałem wszech-  
nauk dziedzinę,  
złąbiłem filozofię, prawo,  
medycynę,  
niestety teologię też! — i cóż? —  
pozostałem  
mizernym głupcem! — tyle wiem  
ile wiedziałem”.

I chociaż wiadomo, że obudowane regalami lektoria bibliotek ucza pokory, sens istnienia bibliotekom i ich księgozbiorem nadaje człowiek czytający i tylko człowiek.

Profesor Ignacy Radliński w pracy „Dzieje książki” pisze: „Zniszczyliśmy spadnięcie prawie na stopień rozwoju przeddzieńowego społeczeństwa. Włóczyliśmy w ręce każdego członka społeczeństwa otrzymamy w drugim i trzecim pokoleniu ogół złożony z uświadomionych jednostek znających swe prawa, a uświadomionych i przygotowanych do uznania i uszanowania praw innych jednostek ogół ten składających”.

Kontynuując myśl znakomitego uczonego stwierdzamy, że właśnie teraz każdy członek społeczeństwa polskiego ma prawo, jak nigdy dotąd ułatwiony dostęp do pisma, do książki. Na Lubelszczyźnie od lat książki te udostępniła Wójciszka i Miejska Biblioteka im. Hieronima Łopacińskiego. A jeśli mowa o tej właśnie bibliotece, wkłada się o prócz oneśmielenia i respektu dla książki inna nuta, nuta sentymentu, jaką się ma do miejsca mijanego codziennie. Załącznik zbiorów były książki, rękopisy, atlasy lubelskiego nauczyciela greki i łaciny, człowieka o niezwykle rozległych horyzontach myślowych, bogatym dorobku naukowym, obdarzonego pasją zbieracza. Biblioteka H. Łopacińskiego powstała w maju 1907 roku. Kalendarz wyznaczył jej już jeden jubileusz dziesięć lat temu. Pozostał po tym święcie trwały ślad w postaci książki pamiątkowej: „Hieronim Łopaciński i Biblioteka jego imienia 1907—1957”. Już osiem lat ukazuje się kwartalnik „Bibliotekarz Lubelski”. Najważniejsze problemy biblioteki znalazły już swoich autorów. W tej sytuacji trudno o wybór faktów, o których by nie pisać. A maj tegoroczny jest sześćdziesiątą rocznicą istnienia biblioteki. Które drzewo wybrać z tego lasu?

Może drzewo genealogiczne. Załącznikiem dzisiejszej biblioteki było mieszkanie prywatne Hieronima Łopacińskiego. Urzędowe dekryty i postanowienia czyniące z jego pasji rzecz o użyteczności publicznej przyszyły później. Najpierw był człowiek pracowicie i twórczo zainteresowany Lublinem. Świadectwo temu daje i kierunek tych prywatnych zbiorów, i zainteresowania naukowe Łopacińskiego. Były w tych zbiorach rękopisy, stare druki, dokumenty, atlasy dotyczące Lublina i Lubelszczyzny. Zamierzał dokumenty publikować, ekspozował je na specjalnej wystawie w Lublinie w 1901 roku. Wynikiem zainteresowania Lublinem jest temat pierwsze opublikowane rozprawki Łopacińskiego „Wydawnictwa periodyczne w Lublinie” (1891 rok). Poświęcił wiele pracy i uwagi najstarszym czasopismom lubelskim takim jak: „Dostrzegacz ekonomiczny i polityczny lubelski” (wydawany w 1818 roku). Te tytuły podporządkowane celowi przypomnienia o pracy profesora dla Lubli-

(Dokończenie na str. 13)

## STUDENCI NA SCENIE

MARIA BEHCZYC-RUBNICKA

monumentalną rezydencją wrocławskiego ZSP, gdzie odbywały się m. in. seminarium i wykłady na temat „Współczesny teatr polski”. Lecz zanim zajmę się — w następnym artykule — kwestiami, jakie sugeruje różnorodność form teatralnych zademonstrowanych na MFFTS (skrót mój?) wrócić do Lublina, by dotrzymując przyrzeczenia z poprzedniego numeru „Kamenu”, podać trochę szczegółów o akromniejszej, nie mniej także uroczej, II Studenckiej Wiosnie Teatralnej, która stanowiąca w mych odczuciach niejako preludium do wrażeń odebranych we Wrocławiu.

A więc lubelska wiosna teatralna nie tylko powróciła z wiersznością pory roku, ale i najwidoczniej zdążyła zyskać na prestiżu, albowiem zainteresowało się nią tym razem więcej miast z różnych stron Polski, a nawet mieliśmy gości z węgierskiego Debreczyna.

Tak to wygląda od strony ilości. Co do jakości produkcji, nie zdradza ona na razie, wydaje się, tendencji zwykłej.

Pisząc rok temu o I Studenckiej Wiosnie Teatralnej, sygnalizowałam potrzebę głębszej uwagi nad pozycją repertuarową, którą jednak niewątpliwie trzeba wybierać na miarę sił. Niestety, przestroga ta pozostaje nadal aktualna. Kto wie, czy kłopoty bodaj nie rosną wobec zafascynowania teatrem absurdu, teatrem okrucieństwa, bądź w ogóle na silę uduwianym — zainteresowania, które gdzieś niedługo w dalekich metropoliach przeżyło już swą kulminację, zaczyna natomiast dopiero epatować prowincję artystyczną.

Jaskrawym przykładem tego niebezpiecznego nastawienia jest

Niedostateczną troską o słowo poetyckie zdradził też znacznie mniej pretensjonalny teatr „Stu” z Łodzi, gubiąc się w niepotrzebnych przeciwnościach, naruszających rytm spektakli wylęciami i wejściami, w niefunkcjonalnym błędzeniu wśród brzydkiich pseudoberwion, mających w jakiś sposób symbolizować to i owo z poezji Grochowiaka (bo przecież nie Bryllar). A trzeba było przede wszystkim lepiej dobrać do tej „Lektury Polskiego” timbre głosów recytatorów i zadać o całej złości tyle wyrazu, ile miała jedna z dziedzin. Jest to jednak zespół dopiero na dorobku i sam wybór pozytywnej repertuarowej można pochwalić.

Tym większe uznanie należy się, również łódzkiemu teatrykowi „Retorta” za dobre wykonanie kulturalnej adaptacji „Prawdziwej obrony Sokratesa”, demaskatorskiego eseju filozoficzno-literackiego, pióra Kostasa Varnallisa, największego współczesnego poety greckiego. Prosta, niemal ascetyczna scenografia (trochę malowanych pilastrów) nie odrywała uwagi widzów od ważkiego słowa pisarza, pomysływe zlokalizowanie akcji na wolnej przestrzeni sali widowiskowej Chatki Zaka, usadowienie „sedziów” na stopniach wiodących na scenę — te nieskomplikowane zabiegi przyczyniły się do uwydatnienia postaci Sokratesa (Stanisław Kwaśniak).

Cytując nadal przypadki świadczące o właściwym uwzględnieniu dyspozycji wykonawców przy doborze utworu i jego interpretacji, trzeba wymienić m. in. warszawski Akademicki Teatr Prób „Cen-ton 2”. Pokazał on jednoaktówkę Saroyana „Jest tam kto?”, wyreżyserowaną przez Borysa Osetina też bez reżyserskich przesostów, w oszczędnej scenografii I. Eichler, z głównym naciskiem na wyraz aktorski, co dało szczególnie dobry wynik w bardzo autentycznej postaci Dziewczyny (Wanda Waisówna). Jeszcze bardziej

świetnej inscenizacji „Pamiętnika wariata” Gogola. Tym razem zobaczyliśmy „Jeszcze pozycję” radzieckiego pisarza Bułata Okudźawy, rzecz, że tak powiem upraszczając — przeciw wojnie, w komunikatywnej adaptacji Jana Łukowskiego, a następnie adaptacji (Krzysztof Miklaszewski) „Karla” znakomitego współczesnego pisarza szwedzkiego Pára Lagerkvista, laureata Nagrody Nobla. Jest rzecz jasną, że adaptacja sceniczna mająca na względzie możliwości teatru studenckiego musiała zrezygnować z całego bogactwa renesansowej szaty, w jaką ubrał swą metaforę autor oryginału, wydaje się jednak, iż monodram był tutaj kształtem scenicznym najlepiej kondensującym treść do myślowego ekstraktu, że każdy człowiek ma swego Karla. Karzeł to zło, które towarzyszy człowiekowi”. Interpretacja roli Karla wymaga niewątpliwie wszechstronnie udoskonalonego warsztatu aktorskiego, jednakże wykonanie jej przez Krzysztofa Jasińskiego w teatrze studenckim trzeba uznać za osiągnięcie wybitne.

Na równi z krakowskim Teatrem „Stu” zajął pierwsze miejsce w naszej wiosennej emulacji lubelski „Gong 2”. Akademicki Teatr UMCS, który w ciągu swej 5-letniej działalności zaprezentował się jako teatr zaangażowany w czołowe problemy współczesnego życia, na II Studencką Wiosnę Teatralną wybrał w drodze wyjątku „Elżbietę Bam”, sztukę Daniela Charmsa (pseudonim rosyjskiego surrealisty D. Juwaczewa), powstałą w dwudziestych latach naszego stulecia, a napisaną w konwencji pokrewnej z dzisiejszym teatrem absurdu, czyli w ja-

## nienie doksalne

KONRAD EBERHARDT

Wkrzeszono „Kamene” (brałem udział w pracach nad pierwszym numerem, kursując nieznużenie pomiędzy oddziałem ZLP a drukarnią), organizowano sporo ciekawych odczytów i imprez literackich.

W tamtych czasach także ukazywał się znakomity (a może to tylko dystans czasu tak to wszystko wypieknie?) dodatek kulturalny „Standardu Ludu”, w którym niżej podpisywany zamieszczał wczesne plody swego ducha, recenzje a także reportaże „z terenu”, których już nigdy później nie dane mi było pisać. Często wprost z wykładu romanistycznego na KUL-u pędziłem do jakiejś stoczni rzecznej czy fabryki i jakoś nikomu to osobliwie następstwo faktów nie zawadzało. Był to jedyny jak dotąd okres w moim życiu kiedy miałem do dyspozycji służbowy samochód. Pamiętam dobrze, jak kiedyś otoczyła mnie ludność jakiejś wsi domagając się założenia elektryczności. Dziwno to było miasto. Krakowski Przedmieście przyciągały firy z cuchnącą melasą, czasem przebiegała jeszcze tamtędy krówka. Było wiejsko i intelektualnie zarazem: trzy wyższe uczelnie, parę tysięcy studentów, świetny teatr, niekończące się dyskusje na piętorku „Lublińsk”...

Z żalem muszę stwierdzić, że nie miałem już samochodu do dyspozycji, nie prowadziłem pasjonujących dyskusji, rzadko bywałem w kawiarni, a pisanie, które było wtedy wielką przygodą, stało się zawodową udręką.

## Szeregowy Tołkaczew

IGNACY WITZ

**W**RAZ z księdzem kapłanem Kupściem wlecieliśmy do Lublina od strony Putaw. Nie wiedziałem o tym, że gdy minęliśmy rogatki zaczął się dla mnie nowy etap życia, a więc powrót do własnego ziemstwa. Lublin pierwszych dni po ucieczce Niemców był nadal frontowym miastem. Takich miast od czterdziestego pierwszego roku wiodziały dziesiątki. To były ruiny dopalające się powoli, tarasujące ulice urwaki i nieomal zawsze na głównych szlakach, rozkładające się tuż nad zabitych koni.

Lublin nie był jednak takim miastem jak inne. Nie mówię tu o władzy powstającej z każdą sekundą, ale o miejscu pierwszych pielgrzymek dokąd szło się z obawą, przerażeniem i strachem, gdyż to TRZEBA BYŁO ZOBACZYĆ. Majdanek. Pierwsza fabryka, gigantyczny na fabryka śmierci na naszej drodze. Obrazy tam widziane żarziły mnie chyba na zawsze, w duzo lat później musiałem wrócić do rysowania „numerowanych ludzi”, kilka arkuszy z nich jest w muzeach lubelskich. Ale to nieważne. Ważny był szary pył, o którym nie wiedzieliśmy czy jest prochem ludzkim czy przywiała go tu spiekota lata, ważny był słodki zapach, uduwianych, który był zapachem palonych ciał, ważne były paleniska i ogrom przerażenia. Wtedy mignął mi star-

szukając ogrom tragedii, zbrodni a zdolały tylko uświadomić jej wy-cinek, fragment — przez co są wiarogodniejsze, gdyż w prawdziwych rzeczach uogólnienie zbrodni mazo-nej to setki tysięcy idące istnieć, jest niemożliwe, gdyż wszystko to jest abstrakcyjne, bezcielesne. Przeważnie może tylko los jednostkowy. Słowa „Majdanek” Zinowia Tołkaczewa jest brak jakiegokolwiek minoru-ty w zakresie formy. Forma wydaje się jak gdyby pozabawiona estetycznych ambicji, jest narracyjna, bardzo zwięzła i w tej zwięzłości znów odkrywam mądrość rzeczy szarych, pozornie nietważkich a jednak jak ekstrakt zawierających ból, przeżycie, wzruszenie istniejące już niemal ponad ludzkimi możliwościami.

Tołkaczew na ten Majdanek chodził stale. Jak żołnierz szarzał coraz bardziej i chociaż tego nie mógł chciał w Majdanku ukazać i to sedno, które i tu i tam, tam to zna-czy w Babin Jarze, gdzie zastrzeżono jego żonę i dzieci, już właściwie jest nie do nazwania i nie do ukazania. Szarzał coraz bardziej, oczy mu upadły, nos zarzysotwiał się ostrzej a nieopalonny zarost był mimo wszystko czynną dziwną w żołnierza. Musiał on — szeregowy — mieć mądrego dowódcę, który pozwolił mu się pogryźć w nie-szczęście, w pokutę, ale w poku-ście artysty zmuszonego zawsze mówić do tych okolicznościach, gdy milczeć należy i wypada. Głos artysty nie bywa jednak bliźniac-stwem, czasami jest modlitwą za zmarłych i szorstkich papierach od-prawiał.

Dał je jako malarz. I myślę, że dziś w tyle lat po stworzeniu tej teki zainspirowanej silnymi i bezpośrednimi wzrusze-nięmi nie w niej nie zettalo. Myślę, oglądając jej reprodukcje, że właś-nie autentyczność prawdy, bólu, roz-paczki istnieje w tych skromnych, przecięt rysunkach, które chciały

Serce i myśl

ZRIGNIEW Kościński przedstawił jak poeta przed...

Młodość ludzka chrońmy przed mrozem i...

Niejednemu utworowi Kościńskiego daje wyraz...

Sens tej liryki jest bardzo ludzki, wychyla się...

wielką problematyką „Wielkie” i wysunięciu...

To, co wyżej powiedziałem, nie dotyczy wszakże całości...

Tom Kościńskiego przekonuje, że podstawa tej poezji...

Ebigniew Kościński: Serce i myśl. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie.

Pro domo suo

Nasz księgowy

Rzadko piszemy o pracownikach naszej administracji...



Wielki artylerii w Petersburgu, gdzie zastała go...

500 zagadek o Lubelszczyźnie

ZUPEŁNIE niespodziewanie Lublin i województwo...

gólnym uwzględnieniem zabytków architektonicznych...

Zupełnie inny charakter ma „500 zagadek”...

Oczywiście można mieć zastrzeżenia do drobnych pomyłek...

Al. Leszek Gzella

Przyznane odznaczenie było dla niego pewnym zaskoczeniem...

Urodzony w Kijowie, po maturze w 1937 r. wstąpił do szkoły podcho...

Wspomnienia przy kandelabrach

IANINA BEREZOWSKA

N A sali koncertowej półmrok. Tylko plomyki świec drża w kryształach...

stania subwencjonowanej Towarzystwa Muzycznego...

Wystarczy wspomnieć nazwisko S. Serwaczynskiego...

Istnieją również dokumenty świadczące o masowym...

Mało komu wiadomy jest fakt, że w parę miesięcy...

Pionierem ruchu muzycznego w naszym mieście...

oraz chórzęski p. Dramiła. W koncertach z orkiestrą...

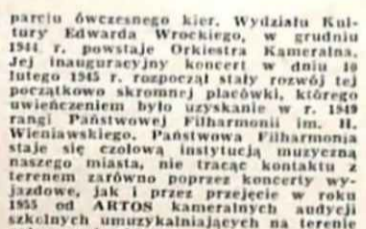
Podkreślić należy, iż obok Towarzystwa Muzycznego...

I wojna światowa zahamowała częściowo życie muzyczne...

Szkola Muzykalna im. St. Moniuszki, otwarta dzięki...

Panetry rok 1939 przyniósł ze sobą rozprawienie...

Z życia muzycznego zeszło do podziemia. Muzyka...



W związku z 50-leciem nadania Lublinowi praw miejskich...

parciu ówczesnego kier. Wydziału Kultury Edwarda Wrocławskiego...

Z kolei akcja upowszechniania muzyki podjęła...

niektóre z nich były dziełami wybitnymi, które miały...

Karłowe Vary wywarły doniosły wpływ na dalszy rozwój...

Pięknie rozwija się działalność Tow. Spiewaczego „Echo”...

Wspomnienia historyczne, które nasuwały mi się...

Dlatego więc z kulturą muzyczną jest tak ścisły...

sojalistyczny i tych krajów, gdzie partie komunistyczne...

Obrazy w Karłowycy Varych wykazywały, że jednemu...

Karłowe Vary wykazały jednoznacznie, że walki...

EGZEKUCJA W KUROWIE

Uraźmie proszę o zamieszczenie tych uzupełnień do artykułu Witolda Rukasa z dnia 13.IV.67 r. pt. „Egzekucja w Kurowie”...

W dniu 3 marca 1944 r. po południu zostały rozstrzelane na ulicach Lublina zaledwie 50 osób...

Marja Kunowska Lublin

JESZCZE O FOTOGRAFIACH AKTEK

Niejak automatycznie przeczytałem list p. M. Podgóreckiego w „Kamieniu”...

Przechodząc do meritum sprawy, tzn. zamieszczać czy nie zamieszczać (mowa o zdjęciach aktorek)...

Trzeba przyznać, że piękna kobieta jest — poza koniem — najładniejszą i najbardziej harmonijnie zbudowaną przez naturę istotą...

A poważnie — niektóre redakcje czasopism literackich zamieszczają reprodukcje co celniejszych grafik...

W dobre wąskiej specjalizacji we wszystkich dziedzinach życia nie należy — moim skromnym zdaniem — odbierać chleba „Filmowi”, „Ekranowi” czy „Panoramie”.

Fryderyk Podolecki Kraków ul. Bonerowska 3/4

Od redakcji: Nietrudno zauważyć, że reprodukcje dzieł sztuki zamieszczamy także i chyba w większej liczbie niż to robią inne pisma.

W ślad za głosem p. M. P. z Przemysła dotychczas swój głos ze Starachwicy (...). Nie myśląc podzielać opinii p. R. Klebka z Radomia...

B. S. Starachowice

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Z okazji XX-lecia RSW „Prasa” odwiedził Białostoczanin przez RSW Tadeusz Galiński...

2 maja rozpoczęły się w Białymstoku IV spotkania Teatrów Lalek Polskich Wschodniej...

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna miasta Łomży istnieje już 70 lat...

Również w Łomży odsłonięto pomnik Jakuba Wągi (1829—1873), naukowca o światowej sławie...

W Białymstoku kwitnie działalność wystawiennicza: 3—29.V — wystawa malarstwa Ireny Krawczyńskiej...

W ramach wymiany przygranicznej bawili na Białostoczaninie Smorągowski Zespół Pieśni i Tańca Białostockiej SRM...

KIELCE

„Turniej trzech gazet” to impreza „Słowa Ludu” zorganizowana w ramach obchodów Dni Książki, Prasy i Radia...

W ramach wyżej wspomnianych obchodów odbył się w Kielcach „mezz sezon”...

7 maja w Pińskowie zainaugurowano obchody Dnia Dzieciatka Kultury w województwie...

Kielce stały się narażeniem siedział wyższej uczelni stacjonarnej. Uchwala

LUBLIN

Centralną imprezą w tegorocznych lubelskich obchodach Dni Oświaty, Książki i Prasy stał się finał XIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego...

Na Lubelszczyźnie bezmyślnie niszczy się zabytkową budowlę. Np. mimo braku pozwolenia odnośnie wiatry straż pożarna z Podolowa (pow. tomaszowski)...

Hucznie obchodzili lubelscy studenci tegoroczne „Kozienalia”. Były występy artystyczne, wybory królowej „Kozienaliów”...

W dniu 11 maja otwarto w Lublinie ogólnopolską wystawę malarstwa

Czas i litera

(Dokończenie ze str. 13)

na nie ilustrują, oczywiście, wszystkich rozgałęzień jego dorobku. Interesował się także kulturą materialną miasta dając temu wyraz w pracy „Przyczynek do dziejów wodociągów w Lublinie”...

Duchowy testament patrona jest skrupulatnie przestrzegany w dalszej drodze rozwojowej tej placówki. Nie ma w niej działu lublinianów, ale jest osobny katalog powalający na wędrowki w przeszłość i po współczesność...

Po śmierci Hieronima Łopacińskiego zaczęły napływać księgozbiory prywatne zasillające wydawnictwami lublinian. Przed pierwszą wojną światową biblioteka otrzymała Archiwum Rodziny Suchodolskich z Gościeradowa...

Nie sposób tu wymienić nawet najważniejszych pozycji pod hasłem lubliniana. A godne są popularyzacji i najstarsze czasopisma lubelskie mające dziś wartość unikalną...

dorywczo, służą pomocą pracownicy biblioteki. W 1952 roku opracowano katalog lublinianów. Są tam informacje o książkach i artykułach dotyczących Lublina i Lubelszczyzny...

Biblioteka Łopacińskiego jest placówką regionalną. Nie pomniejsza to wartości jej zbiorów, a tylko określa ich charakter. Zresztą przed kilkoma laty otrzymała prawa placówki naukowej...

Od 1945 roku ma obowiązek gromadzenia wszystkiego, co się na Lubelszczyźnie i w Lublinie publikuje. Jest to tzw. egzemplarz obowiązkowy przysługujący bibliotekom zobowiązany do gromadzenia całej produkcji wydawniczej...

Kto ze zbiorów pod literą „L” korzysta? Są na nie dwa rodzaje zapotrzebowania. Zapotrzebowanie systematyczne, obliczone na wiek lat żmudnej pracy badacza...

W dniach 24 i 25 maja odbyły się skromne uroczystości związane z 60 rocznicą istnienia Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego. Minął odświeżony nastrój. Codziennie za ludźmi, którym pracą lub nauką wyznacza drogę do biblioteki...

Zofia Dubiewicz

WSZYSTKICH NASZYCH AUTORÓW I KORESPONDENTÓW

Prosimy uprzejmie, aby od dnia dzisiejszego kierowali korespondencję do redakcji „Kamień” tylko na adres: LUBLIN 1, SKRYTKA POCZTOWA 131

Do przyjaciół „Kamienia”

Najpewniejszym sposobem terminowego otrzymywania „Kamienia” jest prenumerata. Wpłaty można dokonać w każdym urzędzie pocztowym...

„Ruchu” w całej Polsce. Każdy listonosz ma także obowiązek przyjęcia prenumeraty.

Przypominamy, że prenumerata kwartalna wynosi 12 zł półroczna 24 zł, a roczna 48 zł. Wszystkich wpłat należy dokonywać do dnia 10 miesiąca...



P RASA codzienna i społeczno-kulturalna poświęcała w maju wyjątkowo dużo uwagi sprawom książki i upowszechniania dóbr kulturalnych...

Program nie zrywa z innym nonsensem, jakim jest uczenie sprawności w mówieniu i pisanu na przykładzie dzieł literatury pięknej. Można to robić na zupełnie innych przykładach...

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o artykule L. Krasuckiego „O regionalizmie nie całkiem serio”...

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o artykule L. Krasuckiego „O regionalizmie nie całkiem serio”, zamieszczonym w „WIATRACH”...

Ważnym elementem jest również perspektywizm tego niezwykle pożytecznego ruchu społecznego. Pisze autor szeroko o historycznych przyczynach, które ważyły na rozwoju polskiego regionalizmu...

„Museum regionalne, może kilka, wydawnictwo lub przynajmniej redakcje, wypuszczając o pewien czas grube zeszyty, jednorazowe wydawnictwa, czasem poszczególne tomiki. Dalej — wypadła mieć folioryt przez pryzmaty obejmującym co się da: od koronek i pamiątek turystycznych — po zespół pieśni i tańca (...). Wypada mieć pismo (...). To ostatnie jest zresztą potrzebne nie ze względu na regionalizm, ale ze

„Eksperyment 66”. Kilkoosobowe twórców eksponuje swoje prace w salach HWA.

RZESZÓW

Wśród lubelskich imprez tegorocznych „Dni Rzeszowskie” należy przede wszystkim odnotować staż naukowy i twórczości Włodzisława Macha, wystawę makiety obrazującej perspektywiczny rozwój Rzeszowa...

Jedną z trzech II nagród im. Juliana Bruna przyznanych przez ZG SDF wybił się młodym dziennikarzem, otrzymał w tym roku red. Władysław Boczar z „Nowin Rzeszowskich”...

12 maja rozpoczęły się w laboratorium zamku dziesięciodniowy staż naukowy i twórczości Włodzisława Macha, wystawę makiety obrazującej perspektywiczny rozwój Rzeszowa...

W Teatrze im. Wandy Siemaszkowej kolejną premierą „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza w adaptacji scenicznej Wandy Maciejewskiej...

Z okazji 20-lecia RSW „Prasa” otwarto w Rzeszowie dwie wystawy związane z działalnością „Nowin Rzeszowskich”. W gmachu „Miastoprojektu”...

W Rymanowie odbyła się (3—6.V) IV konferencja naukowa pediatry Polskiej południowej. Wzięło w niej udział ok. 100 lekarzy z województw: rzeszowskiego, krakowskiego, kieleckiego, katowickiego i opolskiego.

względem na rozwój środowisk inteligencji humanistycznej przede wszystkim”.

Czy to są formy przeżyte? Nie, ale trzeba im nadać nowy sens, podopiecznym współczesnym potrzebom. Dla Krasuckiego regionalizm przyszłości to po prostu całość ruchu kulturalnego danego terenu...

Oczywiście — nie chodzi o dublowanie pracy placówek kulturalno-oświatowych, ale o wykorzystanie w pewnym sensie ich oparcia. Zresztą to oparcie powinno być wzajemne. Przykłady dowodzą, że pracownik etatowy, nie korzystający z pomocy społeczników...

„Nowy program, przemierzając problem wymagać i problem matry, nie zapowiadając w tej dziedzinie żadnych zmian, nie wypowiadając wojny tradycji, sankcjonuje ją i aktualizuje. Sankcjonuje i aktywizuje sytuację, w której przez cztery lata ćwiczy się uczniowie w sprawnościach niezbędnych do zdania matury i niepotrzebnych po maturze”.

Program nie zrywa z innym nonsensem, jakim jest uczenie sprawności w mówieniu i pisanu na przykładzie dzieł literatury pięknej. Można to robić na zupełnie innych przykładach. Co więc powinien robić przyszły polonista? Zamiast kursu historii literatury „wybrać pewną liczbę faktów literackich najdonioślejszych dla współczesności i pewną liczbę faktów literackich najdonioślejszych dla historii”...

Wnioski z pracy tych klubów: „Można na nich budować dobrą młodzieżową kulturę, tylko o tych ludzi, którzy ją poprowadzą, chodzi, o ich inicjatywę, pomysłowość i zaangażowanie. O umiejętności nawiązania kontaktu z młodzieżą, bo w przeciwnym wypadku za kilka lat staniami przed faktem, że coś w kulturze młodych trzeba zmienić”.

Stwierdzenia dosyć oczywiste, ale — niestety — zbyt często trzeba je przypominać. I nie tylko z tej okazji.

T. K.

»KAMENIA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki).

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7, tel. 234-49. Zam. 178, 9.V.67, P-3

